ŚWIAT KOBIECY

REKORD



ROK 1925

NR. 14

CENA ZŁ. 1.50.

DRUK OFSETOWY PILLER-NEUMANNA LWÓW



REKORD ŚWIAT KOBIECY

CZASOPISMO POŚWIĘCONE MODZIE I SPRAWOM KOBIECYM



ROK V | 20 LIPCA 1925 | NUMER 14

LISTY O MODZIE

Paryż, koniec czerwca 1925

Droga Zosieńko!

Muszę Ci powiedzieć, że wiosna, lato, jesień i zima w Paryżu nie mają nic wspólnego z prawdziwemi porami roku. Dlatego tu słuszniej jest porę roku nazywać „sezonem". Naprzykład: wiosna. Wiosna zaczyna się w stolicy Mody już w lutym. Pod koniec stycznia pracownie wystawiają nowe „kolekcje" dla wyjeżdżających na Riwjerę, więc kapelusze słomkowe i krepowe, suknie lżejsze, płaszczyki i kostjumy, przeznaczone na Jasny Brzeg. Naturalnie, paryżanki, skazane na pozostanie w mieście, naśladują szczęśliwe wybranki losu. To są pierwsze jaskółki, bardzo jeszcze niepewne, ale rozlatujące się prędko po całym świecie i roznoszące zwiastuny Mody wiosennej. Tymczasem nigdy niewiadomo, czy te pierwsze próby nieśmiałego lansowania nowych kierunków utrzymają się długo? Bo „prawdziwa wiosna" w Paryżu zaczyna się w dniu otwarcia Konkursów Hipicznych, a kończy się wieczorem po *Grand Prix*. W okresie tym zjawiają się pierwsi przybysze, zapowiadając początek zbliżania się tłumów, rok rocznie zalewających stolicę podróżnikami z całego świata, zdążających do Paryża jak do Mekki wszystkich przyjemności i rozkoszy.



Pierwsi przybysze są to ziemianie, mieszkający w swych pałacach i zamkach, przedstawiający prawdziwą „starą Francję", z jej cnotami, wadami, zaletami i tradycją. Panie noszą duże kapelusze, przybrane ptakiem rajskim, nieco pochylonym, ale ubierają się w Paryżu, tak jest! Na pewno, że nie włożą na siebie jakiejś ostatniej kreacji *Poiret*'a czy *Patou*; są one bardzo dystyngowane, mają znanego w całej ich okolicy krawca w zaułku, odznaczającego się „dobrym gustem", oraz krawcową, która ongiś, za lat młodych, była podręczną u starego *Worth*'a! Mężczyźni, opaleni na polowaniach i od jazdy konnej, mało zwracają uwagi na drobiazgi toaletowe: dnie całe spędzają na torze Konkursów Hipicznych, interesując się jedynie tem, kto zdobędzie I nagrodę. Małżeństwa te, bardzo sympatyczne, trochę trącące prowincją, są zanadto prawdziwymi Francuzami, by móc być Paryżanami... Dnie zwiastują istotną wiosnę, wnosząc pierwszy oddech świeżego powietrza.

A potem dopiero ukazują się na horyzoncie olbrzymie klucze ptaków przelotnych, prowadzonych przez miljardera amerykańskiego, maharadżę-Hindusa i angielskiego lorda. Wszyscy rzucają się masowo na dzielnice eleganckie, napełniając je wyciem syren swych luksusowych samochodów i brzękiem oraz szelestem dolarów. Dobroczynne, zajmujące się dziełami filantropijnemi Paryżanki oczekują ich najazdu niecierpliwie, by rozpocząć serję zabaw wspaniałych, będących najlepszym środkiem napełnienia kas dobroczynnych. Więc w celach szlachetnych panie-patronessy każą tańczyć Cosmopolisowi a Cosmopolis będzie oddawał się namiętnie rozkoszom foxtrotów i jawy, aby tylko tańczył z autentycznemi księżnemi,

a siedział za stołem obiadowym obok autentycznych margrabin!... I to jest zielony, jedynie prawdziwy karnawał Paryża.

Rano, bardzo wcześnie, t. j. do południa, można spotkać cały Paryż w Lasku Bolońskim *au Bois*. Widok wówczas jest sympatyczny, gdyż godzina to młodych dziewcząt. Chodzą parami, lub we trzy, we cztery... Śliczne są w swej młodości i braku sztuki upiększeniu się; bije z nich świeżość, radość życia, wesołość i śmiech... śmiech niewiadomo z czego i z kogo... Jeźdźcy i amazonki galopują po drugiej stronie, a już sam widok ich wystarcza, by pobudzić do śmiechu młode kobietki. Jest to chwila, gdy można włożyć na siebie długą *redingote* (niestety, trwa jeszcze!) i mały kapelusz jasny: filc prosty w kolorze przylaszczki, malwy, róży w rozmaitych odcieniach. Panie, pracujące w pocie czoła na wygląd smukły, uprawiają namiętnie *footing*. Biegają więc bez przerwy parę godzin, aż odbędą przepisaną liczbę kilometrów. Nazywa się to być *sportive*.

Po południu Paryż używa swej Wystawy Sztuki Dekoracyjnej. Jest tam tyle do oglądania! Każdy kawałeczek przestrzeni jest nadzwyczajnie wyzyskany, są tak cudowne zakątki ślicznych ogrodów w rozmaitych stylach, że naprawdę nie chce się stąd ruszać. Tyle sztuki, tyle piękna, tyle bogactwa, fantazji mieści się w skromnej nazwie Sztuki Dekoracyjnej. I, naturalnie, Wystawa ta jest również wystawą strojów pań zwiedzających! Wszędobylscy reporterzy notują skrzętnie taką to a taką toaletę hr. X., widzianej w pawilonie polskim, w kiosku skandynawskim, w pomysłowym salonie mistrza *Poiret*'a, w pawilonie prowansalskim ogrodu nicejskiego, w rosarjum, w ogrodzie sewrskim, przy podwieczorku na terasie itd.



I tutaj, Zosieńko droga, słuchaj nowego objaśnienia Mody: Otóż oprócz smukłych, długich, pustych sylwetek, ukazują się już inne: ubrane równie krótko, ale już szeroko, nawet trochę bioder nie szkodzi... Pasek bowiem opiera się na nich, wspinając się wciąż wyżej... Maluczko, a osiągnie swoje przyrodzone miejsce stanu, a może pójdzie wyżej... do linji Empire. Ale to są jeszcze marzenia dalekiej przyszłości.

Chciałaś parę wskazówek co do okryć na lato: Otóż poza *redingote*'ami poza płaszczykami, sharmonizowanemi z suknią bądź podszewką, bądź materjałem, będziesz mogła nosić dalej swoje ulubione sweatery. Widać ich wciąż dużo, noszonych przez panie *très chic*. Sweater bez rękawów, z wycięciem śpiczastym u góry, włożony na bluzkę z piki białej, ma zawsze wygląd bardzo sportowy. Czasem nawet suknia „udaje“ ten efekt: spodnica i rękawy są z trykotu jednobarwnego, podczas gdy sweater jest z trykotu pstrego, ale w drobne desenie różnokolorowe; jest to doskonały ubiór do auta lub do podróży.

Nie wiem, czy i do Polski doszły już te rozmaite rodzaje sweaterów i kamizelek, o motywach bardzo drobniutkich, tak, że czasem wygląda to jak materjał *chiné* i prowadzi pomału do materjałów jednolitych. Jesteśmy już nieco zmęczone tą różnobarwnością i zbyt wybujałą fantazją, tak, że materjały kostjumów *tailleur*, jako też ciężkie jedwabie, służące jako materjały na strojne płaszcze, są wszystkie w kolorze jednolitym, co najwyżej w desenie geometryczne, w kwadraciki, „łazanki“, trójkąty i t. d. Zdaje mi się, że będzie to dominująca nuta Mody zimowej.

Co się tyczy sukien balowych i wieczorowych (pisałaś, że zapowiada się kilka zabaw w sąsiedztwie na lipiec i sierpień), mogę Ci tylko tyle powiedzieć o wielkich *gala* paryskich, że panowały style rozmaite. Każda pracownia lansowała swoje kreacje i swój „ton“. I tak, firma *Vionnet* lansuje suknie z lamy lub z krepy jedwabnej, bardzo dekoltowane na plecach, oraz z przodu. Suknie te są wycięte w klin, a inkrustacje z tegoż samego materjału w ząb, tworzą rodzaj mozajki, zwężającej się ku stanowi. Z zębów tych opada szerokość jednolita, bez żadnego haftu, ale rozpościerająca się na ziemię ruchem tak już dawno niewidzianym. Szerokość ta zdaje się być leciutko bardziej zaakcentowana na bokach niż z przodu i z tyłu i jest to naprawdę rzeczą cudnie piękną, gdy kobieta suknię taką nosić umie i rusza się w niej z gracją. Na jednym z wielkich balów widziałam księżnę de Grammont, hr. de Gaigneron oraz artystkę teatralną p. Cécile Sorel, z wdziękiem wielkim noszące tę suknię. *Vionnet* również pierwsza lansowała żakiety ze stanem wciętym i nalega wciąż, by utrzymać *cape*, tak ładnie ubierającą kobiety na lato. Przytoczę Ci jeszcze opis kilku toalet wieczorowych. W Paryżu wykonuje się obecnie suknie kosztowne, haftowane, jak niektóre torebki, perełkami różnokolorowemi. Naogół suknie są w tonach dość jaskrawych i zawsze błyszczących, świetlistych, jak np. suknia ks. Gagarin, olśniewająca srebrnym haftem na srebrnej lamie. Suknie z karnawału zimowego mogą być doskonale użyte na karnawał letni, o ile są dość świeże i efektowne. W przyszłym liście opiszę Ci wszystkie cuda zabaw Paryża i może już kostjumy z modnych wód.

A bientôt

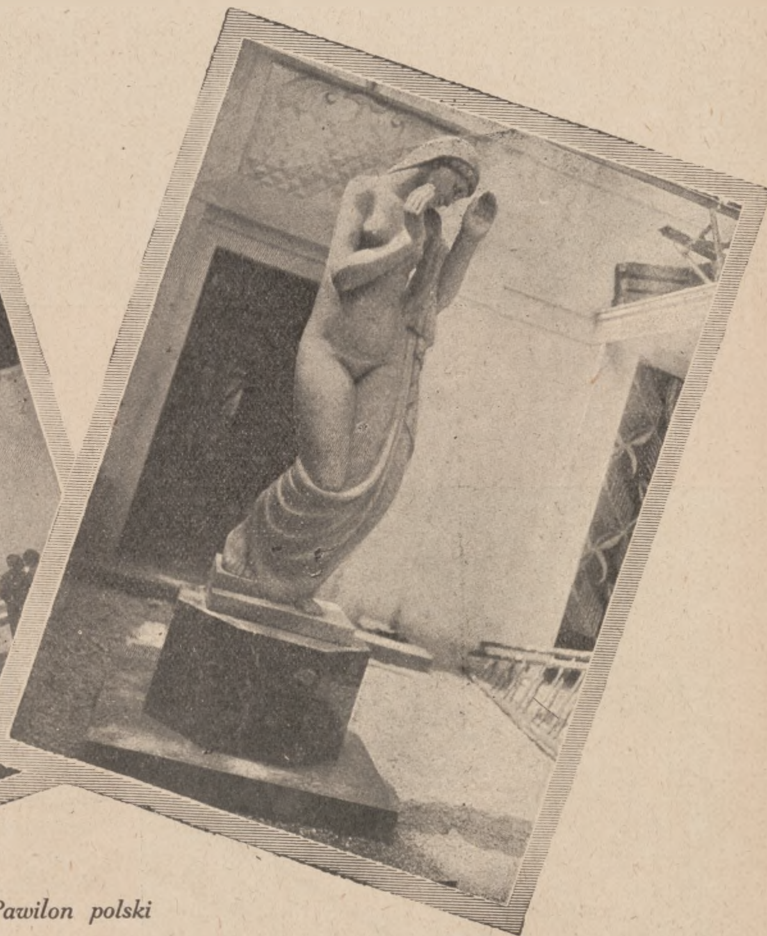
Paula Ł.

WYSTAWA DEKORACYJNA W PARYŻU

„Kto wychwalić zdoła wszytkie
„Twe zabawy i pożytki?“

Skromnie odpowiadam: ja. Jeśli mi tylko Redakcja miejsca udzieli. Narazie chwalić będę tylko pożytki. Stała się właśnie jakaś katastrofa przy zjeżdżaniu z *montagne russe*, więc poczekam, aż się wagoniki przyzwyczają do tej zawrotnej drogi, a wtedy wybiorę się na poszukiwanie niezwykłych wrażeń, z któremi nie omieszkam podzielić się z memi cierpliwemi Czytelniczkami. Obecna wystawa jest dobrą, poglądową nauką geografji. Dla Francuzów naturalnie przedewszystkiem, jako niezbyt w tej wiedzy biegłych, następnie dla osób, głosujących do senatu, które więc swe studja odbyły przed wojną, kiedy to mapa świata inaczej wyglądała, i które nie dość pilnie słuchały wyniku narad wersalskich.





Pawilon polski

To jest bardzo ważne. Widzi się, jakie nowe państwa powstały, które z jakiemi sąsiaduje i co z tego wynika, a z napisów poznaje się formę rządu. Naturalnie, niech nikt zbyt daleko nie posuwa tych metod badania, i np. z wielkości pawilonu nie sądzi o wielkości państwa. Może nawet raczej rzecz się ma odwrotnie. Mała Belgja zajęła wspaniałe miejsce i zasiadła wielką przestrzeń. Polska ukryła się, zresztą bardzo ładnie, wśród drzew i wielkość jej pawilonu nie stoi w żadnym stosunku do obszaru Rzeczpospolitej.

Drugie, bardzo praktyczne znaczenie mieć może wystawa dla literatury. Wiemy, że publiczność dzisiejsza łaknie romansów egzotycznych, a pisarze, którzy zawsze wielką względem niej odznaczają się powolnością, szukają tematów w krajach, nie tylko swym czytelnikom, ale i sobie nieznanym. Wynikają z tego pewne niedokładności i nieścisłości, które w przekładach, np. polskich, rozrastają się do potwornych błędów. Wiadomo, tłumacz zawsze winę ponosi za autora. Teraz więc, zanim ktoś zacznie pisać powieść egzotyczną, wybrać się może do Paryża, zamiast — jakby sumienność nakazywała — tłuc się po morzach i górach, i tu znajdzie mnóstwo materjału, poprostu z pierwszej ręki. Indje? Cóż jest bardziej dziś modnego, niż Indje?... Chyba Egipt. Otóż — Francja ma tam gdzieś niebardzo od Gangesu daleko swe kolonje i w jednym z pawilonów skopjowała te ciekawie dziwne kształty gmachów. Na prostokącie — mury są ceglastego koloru, chropawe, u szczytu powycinane w zygzaki — opiera się kopuła, którą porównałabym do budyniu, właśnie wyrzuconego z formy. Skopjować tylko ten „model“ i „wpakować“ do powieści. Jeśli autorowi chce się koniecznie pokazać raj ziemski Allacha, to rzecz bardzo prosta: w jednem z ramion Grand Palace jest pawilon arabski, otoczony kolumnadą, pod którą mieści się bazar wschodni z porcelaną, bronią, tkaninami, a w różnych zakamarkach zapoznać się można z tajemnicami życia muzułmańskiego. — Tamże wróżą z ręki, widzi się zaklinaczy wężów, słyszy ogłuszającą muzykę, pije czarną kawę, jeśli kogoś, jak mnie, naprzykład, te wszystkie razem wzięte przyjemności nie wystraszą. Ale ja nie mam żadnych obowiązków, na szczęście, dla siebie i dla innych, nie piszę egzotycznych powieści.

Nie trzeba zaglądać do Loti'ego, jak się to tam w tej Japonji żyje, dość wejść do tego leciutkiego zamku, przyjrzeć się matom, lampom, poduszkom i kwiatom, a gdy w dodatku na „Formozie“ wypije się herbatę, lub, jeszcze lepiej, zje za 20 franków śniadanie, na które złoży się pół nóżki jeża, pół główki pająka i całe gniazdo jaskółcze, a wszystko to oblane sosem z morskiej trawy, to autor naszej Butterfly będzie mieć olbrzymi zapas *couleur locale*.



Meble J. Czajkowskiego

Miejmy nadzieję, że na nasz *prestige* w literaturze wszechświatowej dobrze też wpłynie ta wystawa. Właśnie czytam o jakiejś powieści angielskiej, której część, niestety największa, odbywa się w Polsce i której to Polski poznać nie można. Tak się dzieje w solidnej Anglji, cóż dopiero w lekkomyślnej Francji, której wiedza o innych krajach wcale nie obowiązuje. Najwyżej przed wprowadzeniem na scenę bohaterów polskiego pochodzenia bierze się „Avatara" Teofila Gautier do ręki, żeby się przekonać, że bardzo narodowe jest imię „Praskonia", jakąś powieść pani Reval, gdzie są praktyczne informacje co do ilości miodu, wypitego przez naszych przodków, albo ostatecznie idzie się do kina i z filmu „Terre promise" czerpie wiadomości o strojach ludowych. Teraz, gdy jakiś pokrewny Pierre Benoit lub Claude Farrère'owi literat, szukający, jak oni, egzotycznych tematów, zechce skreślić Francuzom obyczaje ich sojuszników *pour se documenter* pójdzie do polskiego pawilonu. Narazie będzie niezadowolony, bo zobaczy, że to nie jest wcale takie barbarzyńskie, jak się spodziewał. Na bohaterkę nie powoła kobietę z rzeźby Kuny, jakkolwiek uosabia ona „Rytm", ale dla Francuza jako współczesna piękność zbyt mało *fine*, a jako heroina dawnych epok zbyt dzisiejsza.



Malowidło Z. Stryjeńskiej

Natomiast napewno zapali się do białych ścian, do atyki ze ślicznem złoceniem, do okapów nad oknami zielono-szafirowych, do bajkowej wieży szklanej, do kutego w kamieniu orła. Biedzić się będzie, która scena najefektowniej wypadłaby w atrjum: wśród tych kolumn, ścian ślicznie dekorowanych z herbami miast, warszawską syreną, bramami Krakowa i Lwowa, kresowego grodu. Barwne witraże Mehoffera z pewnością spokoju mu nie dadzą, jeden rozdział rozegra się w świątyni, do której światło padać będzie przez takie same złote, purpurowe i szafirowe szybki. Dla ułatwienia skopjuje z pani Bovary Flauberta spotkanie kochanków, którzy w katedrze Rouen składali pierwsze, mało zresztą jak i ostatnie, obowiązujące przysięgi.

Wyobraźnię gryzipiórka paryskiego rozpali czarny prastary dąb, wydobyty z dna Wisły, i na wzór tych odrzwi wspaniałych i tych ośmiu kolumn, które podtrzymują strop, wprowadzi je do jakiegoś ponurego zamku, w którym bohater dokona kiedyś, po najdłuższych latach, żywota. Na szklanej wieży, *tour lumineuse*, co „w dzień jako słońce, w noc jak księżyc pała", mieszkać będzie ona, któraś z dziewcząt, zapożyczonych z *panneaux* Zofji Stryjeńskiej. Bawić się będzie kotkiem, nie takim olbrzymim paryskim kotem, ale egzotycznym, szaro-burym Maciusiem, i wić nieskończone wieńce ze złotych zbóż, jak się to na ścianach świetlicy dzieje. Pomysłowy Francuz tu urządzałby uczty i zabawy, takie barwne, roztańczone, jak muszą być tam, w tym dalekim kraju, skoro się teraz te wijące po murach obrazy „rokiem polskim" nazywają.

O mały włos, a zapomniałabym dodać, że posłuchania pana zamku odbywałyby się w tej poważnej komnacie, pełnej kilimów, pięknych mebli, posłuchania, bo mi się wydaje, że byłaby to powieść historyczna, gdzieś na przełomie średnich wieków i nowożytnych się odbywająca, może naprawdę pierwsza francuska powieść o Polsce, czerpiąca z materjałów artystycznych i narodowych.

Aurelja Wyleżyńska (Paryż)

TADEUSZ MICHAŁ NITTMAN

MAROKAŃSKA BALLADA

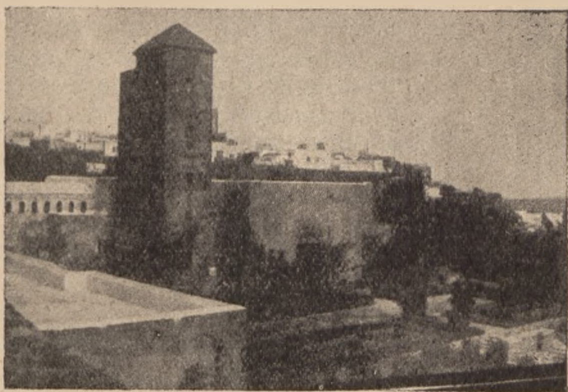
Ued z gór — lodowców kowal —*
stopiony niesie śnieg...
...Na twej twarzyczki owal,
cień wiotki palmy legł.

Gdzie wydeptany w piasku
wielbłądzich racic ślad,
szłaś złota w rannym brzasku,
jak bajka z dawnych lat!
— Ten pałac wezyr stary
wzniósł dla swej faworyty...
Z onyksu ma filary,
z cedrowych drzew sufity.
...Z onyksu ma filary,
w filarach Koran ryty.

A może, może — kto wie? —
to wszystko nam się zdaje?...
W zapalnej roi głowie
podróż przez dziwne kraje?!
...W basen z różowej cegły
Smok z bronzu leje wodę...
Po alabastrach biegły
twe drobne stopy młode.
Po alabastrach biegły,
brzmi nóg twych stuk rozległy...



Ued marokański



Rabat Kasbah Udaja

*Dzień gaśnie nad Udają**,*
wkrąg płaskie dachy płoną...
W twych nozdrzach zmysły grają
miłości pieśń czerwoną!
. . . .
Dzień gaśnie nad Udają,
bociany lecą zgrają...

— A może cię przyłapię,
w dalekim naszym domu,
jak szukasz w starej mapie
Afryki pokryjomu?
. . . .

Z meczetów brzmi dokoła
zew wiernych w Al-Koranie...
— O, miła! To nas woła
Ałłach na miłowanie...
Ałłach na miłowanie!...
Któż Mu się oprzeć w stanie??
. . . .

Krwi plamy ongiś krzepły
w podworcach tych co krok.
...Twój uśmiech słońcem ciepły
rozświetlił komnat mrok...

Szaleje woń — rozpusta
aronów, lilji, róż...
...Mocniej twe pachną usta
i twego ciała krwi!

Ued z gór do morza wpada,
a morza — gdzież jest kres?
. . . .
— Skończona ma ballada
*z Marakesz, z Rabat, z Fez***,*
Z Marakesz... Z Rabat... Z Fez...



Rabat Onelsia



Rabat. Wnętrze pałacu Wezyra, komnata faworyty

* Ued — strumień (po arabsku).
** Kasbah Udaja — starożytna twierdza korsarska w Rabat (Marokko).
*** Trzy stołeczne miasta w Marokku.

SELMA LAGERLÖF

II. Wedle zdania sędziwego, światłego papieża nie trzeba przeciwdziałać temu ruchowi ludowemu, ale pójść mu naprzeciw, ująć go za rękę i przyprowadzić do stóp Zbawiciela, bo Antychryst jest jednym z odnowicieli świata i choć nikt, a więc i on, nie jest w stanie uwolnić mieszkańców tej ziemi od cierpień, ale wiele będzie przebaczone temu, kto ludowi doda świeżej otuchy do zniesienia utrapień.

Cierpieniem przejęta jest dusza Jana w „Tętniącem sercu". Bardziej wzruszająco nie można przedstawić miłości ojcowskiej, którą wstydliwie niejako ukrywa ten zwyczajny, prosty człowiek. Uczucie to jest osią tej powieściowej tragedji, rozgrywającej się na tle doskonale oddanej przyrody i ludzi, otaczających główną osobistość.



„Woźnica śmierci" pragnąłby tylko móc żyjącym powiedzieć, by nie życzyli sobie ani szczęścia w miłości, ani powodzenia, ani władzy, ani długiego życia, ani nawet zdrowia, lecz by złożyli ręce i wszystkie swe myśli zogniskowali w modlitwie: „Panie, Panie Wszechmogący, pozwól dojrzeć mej duszy, zanim na nią przyjdzie czas żniwa".

Klasyczną niejako książką, w której autorka w postaci bajki o zwierzętach daje w formie niezmiernie poetycznej dzieciom lekcję poglądową o mieszkańcach i okolicach Szwecji, jest „Cudowna podróż z dzikiemi gęsiami". Rzeczywistość i fikcja tak naturalnie się tu splatają, że nawet i dorośli z największem zajęciem śledzą przygody małego Nilsa.

I w „Ojczyźnie Lilienkrony", niepojęte zjawiska przyrody, nieznane zagadkowe zjawy biorą udział w wydarzeniach i losach ludzi. Historja Maji Lisy, którą nienawiść, okrucieństwo i prostactwo macochy prześladowały, jej wyzwolenie z tego ciernistego kręgu i wkońcu jej szczęście promienne — tworzą tę znakomitą powieść. Prawdziwą ojczyzną Lilienkrony, to świat tonów, do których mu przystępu broni tragiczne przeżycie, lecz głęboka i silna miłość Maji wprowadza go tam napowrót; i potęga muzyki, ta twórczyni ich szczęścia, pozostaje i nadal jego strażniczką.

Dzieło to składa się z szeregu pojedynczych obrazów, spojonych jednak wewnętrzną treścią w jednolitą całość, a natura, jak zawsze u Selmy Lagerlöf, skreślona z niezwykłą żywotnością i wiernością. Z całej tej pracy promienieje krystaliczna czystość ducha i wszechogarniającą dobroć.

Fantastyczne opowiadanie „Skarb pana Arne'go" nie spotkało się z tak jednogłośnem uznaniem, jak inne utwory genjalnej pisarki: brak mu bowiem psychologicznego pogłębienia i zwyczajnej u niej prostoty i jasności stylu.

W „Podaniu o pańskim dworze" widzimy, jak zbawienny, uzdrawiający wpływ wywiera na chory umysł głęboka, czysta miłość. Całą tę nowelę przepaja tak, jak i inne prace szwedzkiej autorki, szczery optymizm.

Na „Niewidzialne związki" i „Historję życia" składają się podania, baśnie i legendy z różnych czasów, znajdujemy tu też nieco zdarzeń z rzeczywistego życia.

„Jerozolima" wprowadza nas w najgłębszą warstwę szwedzkiej kultury, dając nam najlepszą dotychczas powieść z życia szwedzkiego chłopa. Dzieło to składa się z dwóch tomów, zatytułowanych „W Dolormie" i „Jerozolima".

„W Dolormie" mamy właściwie trzy części; w pierwszej w artystycznie cudnej formie zapoznajemy się z ojcem bohatera Ingmarsona i jego antenatami, w drugiej z losami Ingmarsona i jego otoczenia, w trzeciej z sugestywnym wpływem nowej sekty na mieszkańców Dolormy i ich wyjazdem do utęsknionej Jerozolimy. Dzieje dzieci owego Ingmarsona, który, orząc na polu wiosennem, rozmawiał z ojcem i swymi przodkami, stanowią rdzeń tego dzieła, gdyż one to — z małemi wyjątkami, walczą wytrwale o nową naukę, o tę świeżą wiarę, która przyszła z za Oceanu i zawładnęła prawie niepodzielnie głęboko dotychczas wierzącymi parafjanami i Dolormy. Ciepło i pięknie są skreślone losy młodego Ingmarsona, jego miłość do Gertrudy, córki nauczyciela, której się sprzeniewierzył, bo, chcąc zachować domostwo i grunta ojców, poślubia bogatą, nielubianą wojtównę.

W drugiej części tej powieści, w „Jerozolimie", spotykamy znane nam już typy charakterystyczne, które religijną ekstazą kierowane, osiadły w świętem mieście. Pierwsze rozdziały tego utworu to historja wielkiego rozczarowania, gdyż zagorzali sekciarze, fanatyznem własnym wygnani z osiedli ojczystych, spotykają na obczyźnie zamiast wyśnionych miraży tylko brud i nieład, choroby i braki, waśnie i intrygi między przedstawicielami różnych wyznań. Tęsknią niewymownie do porzuconej ziemi i chaty — za niebem i wodą, za drzewem i murawą, za śniegiem i deszczem — tam — daleko. Lepiej się dzieje szwedzkim emigrantom a równocześnie jakby nowy prąd ożywia to dzieło, gdy Ingmarson przybywa do biblijnego grodu, ziomkom pomaga i swoje osobiste sprawy do ładu doprowadza, poczem wraz z kilkoma kolonistami powraca do ojczyzny.

Tak jak w „Goście Berling" i „Ojczyźnie Lilienkrony", tak i w tej powieści dolą ludzką kierują wizje, znaki ostrzegawcze i sny prorocze. Pierwsza jej część „W Dolormie" literacko o wiele wyżej stoi niż druga, jednak i druga część obfituje w przepiękne epizody, jak np. ów w ostatnich chwilach Timsa Halforna, o pobycie w górskim szałasie żony Ingmarsona, o pojednaniu się małżonków i wiele innych. Prostota i piękno stylu, spokojny tok opowiadania i opisy pełne siły tworzą z tego dzieła prozaiczny epos ludowy. Porównać je można snadnie z „Ziemią" Zoli a nawet z „Chłopami" Reymonta; jest ono nie tylko jednem z arcydzieł szwedzkiego piśmiennictwa, ale i znakomitym utworem literatury światowej.

W r. 1919, na polecenie szwedzkiej Akademji, napisała Selma Lagerlöf, w stuletnią rocznicę urodzin poety Zacharjasza Topeliusza, szkic o tegoż życiu i działalności. Książkę tę, mającą właściwie być krytyką literackiej, publicystycznej i historycznej działalności Z. Topeliusza, czyta się z wielkiem zainteresowaniem i poza rodzinnym krajem autorki.

W „W Marbace" opisuje nam swe dziecinne i młodzieńcze lata. „Księżniczka babilońską" nazywa się tom, zawierający opowiadania, nowele, wspomnienia, obrazki nastrojowe z ostat-

niej wojny europejskiej i mowy uniwersyteckie, gdyż od roku 1914 jest ona członkiem Akademji szwedzkiej.

Selma Lagerlöf jest możną władczynią w krainie fantazji, u niej źródła mówią, pustynne piaski tęsknią, drzewa słyszą — zjawiają się karzełki, wiedźmy i biesy — ale talent autorki nadaje im artystyczne wrażenie prawdy. Największą jej jednak zaletą to brak pustego patosu, prostota stylu, silnie odczuwana potęga istnienia i wielka mnogość głębokich myśli. Świetnie po największej części są u niej scharakteryzowane postacie, tkwiące wprawdzie głęboko w ziemi, ale mające pociąg do mistycyzmu — zadziwia też ów tak rzadko obecnie spotykany optymizm, którym przepojone są jej dzieła. Kroczy ona wogóle własnemi drogami — spokój epicki opromieniony jest blaskiem serca, gdyż posiada taki nadmiar uczucia, takie entuzjastyczne ukochanie życia, ludzi, wszelkich tworów ziemi i zjawisk przyrody, że raczej słoneczne południe, a nie mroźna północ, powinnoby być jej ojczyzną.

B. Baumgartenowa (Kraków).

MAŁŻEŃSTWO W CHINACH

Uroczystości zaręczynowe i ślubne w Chinach są połączone dla rodziców i rodzeństwa państwa młodych z wielkiemi kłopotami i trudami; zaś dla obywatelki niebieskiego państwa jest małżeństwo zawsze niepewną loterją, nie mając bowiem sposobności poznać przyszłego towarzysza życiowej wędrówki, gdyż odwieczne zwyczaje nie pozwalają na to, nie wie nigdy, czy mąż jej będzie dobrym rozsądnym człowiekiem, czy też zgryźliwym, wymagającym niekiedy i okrutnym, czy teściowa będzie łagodną, miłą kobietą, czy też dokuczliwą jędzą. W kraju tym bowiem synowa musi żyć pod jednym dachem z matką męża, musi być jej ślepo posłuszną we wszystkiem, być jej pokorną służebnicą i niewolnicą, zdaną na jej łaskę i niełaskę. Nieposłuszeństwo dla teściowej może być też przyczyną rozwodu — los więc młodej mężatki zależy w głównej mierze od charakteru jej świekry. Wiele młodych kobiet w Chinach kończy samobójstwem, nie mogąc dłużej znosić udręczeń lub pracy nad siłę, jakiej im nie szczędzi tęściowa, i nie mając już rodzinnego domu lub nie mogąc z jakichkolwiek powodów doń wrócić.

Zaręczyny i ślub poprzedza cały szereg drobiazgowych formalności. Rodzice lub najbliżsi krewni młodzieńca, zamierzającego wstąpić w związki małżeńskie, rozpoczynają rokowania, wybierają pośrednika, który składa wizytę rodzicom młodej panny i proponuje tę partję. Jeżeli rodzice panny uważają, że ten młodzieniec jest odpowiednim dla ich córki, w takim razie udają się do wróżbity, by zasięgnąć jego rady w tej kwestji. Jeżeli ów mędrzec, dla którego przyszłość nie zawiera żadnych tajemnic, doradza do tego związku, wówczas wręczają pośrednikowi kartę, na której jest podany rok, miesiąc, dzień i oznaczona godzina urodzin panny; kartę tę wręcza ten pośrednik rodzicom młodzieńca. Ci znowu ze swej strony zapytują wróżbitę — jeżeli odpowiedź jego jest przychylną, wówczas obie rodziny podejmują się gościnnie, podpisują kontrakt zaręczynowy, a ulubieniec posyła oblubienicy dwie bransoletki; jednakowoż ani on ani ona nie są obecni przy tych uroczystych biesiadach. Zaręczyny atoli dopiero wówczas są ważne, gdy, chcące się ze sobą skoligacić rodziny, wymieniają między sobą pewien ze szczególnej tektury zrobiony bilet, o które się ma wystarać otoczenie narzeczonego. Na jednym z tych biletów jest wyrysowany złoty smok na drugim takiż feniks; kartę ze smokiem przechowuje rodzina pana młodego na znak jego zaręczyn, karta z feniksem pozostaje u narzeczonej, która wraz z tym znakiem otrzymuje różne dary w naturaljach, jako to: prosiątka, drób, ryby i t. p. — Wtedy dopiero zaręczyny są ważne i prawomocne. Następnie trzeba myśleć o ślubie, który w przeciągu pięciu miesięcy po zaręczynach ma się odbyć i do którego trzeba wybrać pomyślny dzień. W tym celu udaje się wuj lub najlepszy przyjaciel pana młodego znowu do wróżbity i zaznajamia go z najważniejszemi wypadkami, które towarzyszyły urodzeniu się narzeczonej i narzeczonego. Mędrzec, czytający w gwiazdach, wybiera najpomyślniejsze chwile dla odbycia wesela, sporządzania szat ślubnych i t. p. Daty tych szczęsnych dni wypisuje się pięknie tuszem na czerwonym papierze i posyła rodzinie panny młodej, która wzamian posyła rodzinie narzeczonego zaproszenia ślubne. Familja oblubieńca posyła rodzicom oblubienicy placki weselne, które się rozdziela między krewnych i najbliższych przyjaciół. Wraz z tem pieczywem otrzymuje panna młoda mniejszą lub większą sumę pieniędzy, pewną ilość czerwonej materji jedwabnej, suszone owoce, koguta i kurę, gęsiora i gęś. To wszystko stanowi posag, który w dniu ślubu obnoszą po ulicach miasta.

Wesele odbywa się z możliwie największą okazałością. W wigilję tegoż przymierza panna młoda ślubną suknię i włosy jej upinają po raz pierwszy w ten sposób, w jaki się czeszą mężatki. Ślubny strój jest jednakowy dla bogatej i ubogiej oblubienicy, nawet najbiedniejsza dziewczyna, nie mogąc go sobie sprawić, wypożycza sobie takowy na ten dzień.

Znany chinowy I. I. van Groot tak opisuje tę szatę: Spodnia suknia jest z zielonego, błyszczącego jedwabiu i nazywa się „bongkem“ czyli „suknią smoka“, bo ma z przodu i z tyłu haftowanego smoka, który powstaje z wodnych fal i leci w przestworza, by się opuścić w postaci użyźniającego deszczu na pola i łąki — bo smok jest od prastarych czasów uważany za główne bóstwo, darzące deszczem i urodzajem. Każdy z tych smoków otoczony jest haftowanemi figurami. Na prawo i na lewo od potwora jest wyhaftowany nietoperz, będący symbolem szczęśliwości. Najważniejszą częścią ubioru ślubnego jest płaszcz z jasno czerwonego jedwabiu, zwany „bongo“ albo „płaszczem smoka“. Tutaj także znajduje się na piersiach i plecach smok, powstający z fal, oprócz tego na każdym z bardzo szerokich rękawów mniejszy smok. Każdy z tych potworów stara się połknąć słońce, jest otoczony chmurami i nietoperzami, — nadto zdobią ten płaszcz kwiaty, gwiazdy i feniksy, będące w Chinach symbolem wierności małżeńskiej. Na ten płaszcz zawdziewa się tak zwane „he poe“ albo „okrywkę chmur“, sporządzoną z czarnego jedwabiu. Jest ona bez rękawów i zapina się na piersiach. Piersi i plecy upstrzone są wielkiemi kwadratami jedwabiu zahaftowanego ptakami i czworonogiem, będącym emblematem rządowej godności. Suknia jest ujęta w fałdy na plecach a na karku ozdobiona kwiatami; na piersi i plecy opada nadto siatka z kolorowego jedwabiu, z której zwisają długie frendzle. Wszystkie hafty tej kosztownej szaty są wykonane srebrem, złotem lub jedwabiem, a smoki po największej części jasno żółtym lub zielonym drucikiem w gustownych odmianach. Tak zwany „kak toa“ albo pasek rogowy — obszyty czerwonym jedwabiem i upstrzony małemi kwadratowemi rameczkami, z których każda okala kawałek nefrytu — podtrzymuje ów płaszcz i powiewa w kształcie szarfy. Do tego stroju nosi się małe, czerwone, jedwabne buciczki.

Głowę okrywa „kong koan“ albo czapeczka feniksa, zwana też kapeluszem weselnym. Jest to dziwne okrycie głowy w kształcie filiżanki, zrobionej z cienkiego, plecio-

nego drutu, ozdobionej na zewnętrznej stronie figurami, przedstawiającemi liście, kwiecie i motyle. Cztery ponad inne wystające liście są okryte literami chińskiemi, tworzącemi razem to zdanie: „Otrzymałem z nieba urzędowe przeznaczenie“. Szeroka czerwona jedwabna wstążka nosi się na tym kapeluszu; na tej wstążce znajduje się 8 głównych stworzeń, lanych z miedzi, tak zwane: „pah Sien“ — które dodatnio przyczyniają się do pomagania celowi, do jakiego służy ta szata, mianowicie: darzenia długiem życiem przyszłych synów panny młodej. — W pięknie utrefione włosy wpina się srebrną szpilkę z główką ze szlachetnych kamieni.

Należy wspomnieć jeszcze o jednej ważnej okoliczności, tyczącej się ślubnej szaty — służy ona bowiem za ubranie do trumny. Lud chiński wierzy, że dusza pozostaje w grobie przy ciele, zsyłając stamtąd swe błogosławieństwa na potomstwo. Z tego wierzenia wypływa drugie, mianowicie, że los rodziny zależy w zupełności od grobów jej przodków i że wszystko to, co zmarli dobrego ujrzą w obrębie swych grobów, na pozostałych jako miłe dobrodziejstwo spadnie. — Dlatego ubierają synowie chętnie zmarłe matki w ślubną suknię, przedstawiającą trzy błogosławieństwa: „fuh, schen i leh“; sądząc, że to zapewni im i ich rodzinie ich trzy rodzaje szczęśliwości.

Chociaż ceremonje ślubne rozpoczynają się wczesnym rankiem, jednak narzeczona jest cały dzień zakwefiona. Dopiero przy wieczornej uczcie zasiada z odkrytą twarzą, gdyż dobry ton wymaga, by pan młody wówczas dopiero ujrzał oblicze swej małżonki. Na widok lic swej żony musi jednak pozostać zupełnie obojętny bez względu na uczucie, jakie w nim one wzbudzają — ma się tylko suto raczyć obficie zastawionem jadłem i napojem. Narzeczona jednak nie śmie tknąć niczego z tych ponętnych okazów kulinarnej sztuki i uśmiechnięta przyjemnie odsuwa te wszystkie smakowite rzeczy, któremi ją chcą uraczyć przyjaciółki i znajomi. Wskutek tego jest ślub właściwie torturą dla Chinki. Musi ona jeszcze wieczorem po złożeniu welonu pozwolić, by każdy gapił się na nią: goście, sąsiedzi, a nawet przechodnie uliczni — i nieraz słyszy zjadliwą krytykę swej urody, nie śmie jednak się obrażać, ani też nie śmie się nawet śmiać, musi siedzieć z uśmiechnięta twarzą całkiem nieruchomo.

Gdy narzeczony już ukończył biesiadę, wówczas młoda para dziękuje Najwyższej Istocie za łaskę stworzenia ich, opiekowania się niemi i utrzymania ich przy życiu przez tyle lat.

Zawarcie małżeństwa nie uważa się w Chinach za żadną ceremonję religijną, dlatego też duchowni nie mają z tem nic do czynienia — chociaż zazwyczaj kilku kapłanów wyższej rangi, których znamionuje powłoczysta, żółta szata, znajduje się wśród gości weselnych.

PANI DOMU A KONWERSACJA

Człowiek jest stworzeniem towarzyskiem i chociażby jak najwyżej cenił niezaprzeczone walory samotności, to przecież po pewnym czasie zatęskni za ludźmi i obcowaniem z nimi.

Jednak, ażeby być pożądanym w towarzystwie trzeba umieć dać coś z siebie, posiadać dar prowadzenia zajmującej rozmowy. Niezmiernie ważna to zaleta, zwłaszcza dla kobiety w roli pani domu, jednakowoż stosunkowo rzadko spotykana. Ileż bo warunków złożyć się musi na to, aby konwersacja była miłą i zajmującą rozrywką towarzyską. Umiejętność pokierowania nią wymaga nietylko inteligencji i taktu, ale w równej mierze sprytu, zmysłu spostrzegawczego, szybkiego orjentowania się w sytuacji i pewnej śmiałości.

Kobieta pragnąca być miłą panią domu musi pamiętać o tem, że w konwersacji nie tyle chodzi o jej osobiste wartości, ile o wydobycie na jaw, o uwydatnienie wartości towarzyskich jej gości a o ukrycie drobnych ich wad. Wedle La Bruyère'a „dans la conversation, l'ésprit consiste moins à en montrer beaucoup, qu'à en faire trouver aux autres.“

Trzeba zatem unikać wysuwania siebie na pierwszy plan i pozostać niejako w cieniu, natomiast poddawać interesujące tematy i zachęcać nieśmiałych do zabrania głosu.

Dla podtrzymania konwersacji nie wystarczy łatwość mówienia na zawołanie i dużo. Przedewszystkiem trzeba umieć słuchać i milczeć w stosownej chwili. Ważnym warunkiem zajmującej wymiany zdań jest niekrępowanie nikogo w swobodnem wypowiedzeniu się i nawiązywanie rozmowy na tematy bliskie poszczególnym zebranym, jak n. p. sztuka, literatura, podróże, sporty, rozmaite upodobania i zamiłowania. Oczywiście pytania muszą być pozbawione wszelkich cech osobistej ciekawości a stanowić jedynie miłą podnietę do rozmowy.

Na wypadek różnicy zdań i wynikłej stąd dysputy nie należy przemawiać porywczo lub złośliwie, gdyż oznaką starannego wychowania jest opanowanie rozdrażnienia, jak również uszanowanie zdania drugich. Istnieją kwestje, które roznamiętniając, wprowadzają niepożądane pierwiastki do dyskusji. Należą do nich między innemi: polityka, religja i krytyka. Trzeba więc intuicyjnie wyczuć nastrój otoczenia i odgadnąć, co je zainteresuje — a co rozdrażni. Konwersacja pojęta, jako cenna rozrywka towarzyska nie powinna być terenem namiętnych wybuchów i słownych utarczek. Mamy przecież od tego posiedzenia sejmowe.

Do licznych a niezbędnych zalet pani domu należy również wyrozumiałość. Czasem ktoś pozwala sobie na śmiałe wycieczki osobiste, na dowcipy wątpliwej wartości lub też wybiera śliskie tematy. Rozumna pani domu zapanuje wtedy nad własną niechęcią i nieznacznem zwróceniem rozmowy na inne tory, zgrabnie pokryje te nietakty. Wyraźne okazanie zawstydzenia czy oburzenia, wyniosłe lub pogardliwe miny dałyby wprost przeciwny skutek. Byłyby raczej podkreśleniem niż zatuszowaniem niepożądanych momentów.

Przykrym objawem małostkowej i niskiej duszy jest obmowa. Kobieta dobra i uczciwie myśląca nie zniesie tego w swoim salonie. Jeżeli jednak stanie wobec faktu dokonanego, najlepiej uczyni, zachowując chłodne milczenie. Gdyby zaś to nie pomogło — ma prawo przerwać delikatnie mówiącemu i grzecznie oświadczyć, że jest zupełnie odmiennego zdania.

Żartowanie z ułomności fizycznych świadczy o najniższych instynktach i jest niedopuszczalne w szanującem się towarzystwie. Rozwodzenie się nad własnemi brakami fizycznemi wprawia słuchających w zakłopotanie. Niektórzy sądząc, że chodzi o zaprzeczenie — protestują z grzeczności lecz wbrew przekonaniu.

Uprzejmość towarzyska nie wymaga szafowania przesadnemi komplementami, które zresztą nie budzą wiary — dyskretne natomiast, utrzymane w tonie pełnym rezerwy, mogą niejednemu sprawić przyjemność. Niema może gorszej towarzyskiej przykrości nad natarczywe chwalenie w oczy. Dla osób wrażliwych a skromnych są to istne tortury. Ale i mówienie rzeczy przykrych pod pretekstem

szczerości nie należy do taktownych. Zresztą nikt nie jest nieomylny — i to, co wydaje się jednym złe lub brzydkie, może być dla innych sympatyczne i dobre.

Wystrzegać się trzeba poruszania spraw osobistych w szerszem gronie znajomych. Złe świadectwo wystawia sobie kobieta, opowiadając w towarzystwie o prywatnych kłopotach, chorobach, wydatkach, o służbie — albo krytykując publicznie właściwości charakteru męża i najbliższej rodziny. Jedynie w pogawędce we dwoje, albo na uboczu można — z zachowaniem przyzwoitej rezerwy — wspomnieć dyskretnie o sprawach bliżej nas dotyczących. Jeżeli jednak ktoś mówi poufnie sam, z własnego impulsu, nie należy go zasypywać pytaniami. Nie upoważnia do tego okazane nam zaufanie, które będąc dowodem pewnego rodzaju wyróżnienia, obowiązuje do dyskrecji,

Prowadzenie z kimś dysputy na temat fachowy i niezrozumiały dla innych, posługiwanie się technicznemi wyrażeniami — głośne wybuchy śmiechu — wszelkie hałaśliwe oznaki zdziwienia, zachwytu — szeptanie do ucha — zmuszanie drugich do milczenia przez własną gadatliwość — są to wszystko nieznośne wady towarzyskie.

Prosta grzeczność zabrania przerywać mówiącym — a gdy się komuś mimowoli to zdarzy, powinien natychmiast usprawiedliwić się w specjalnie uprzejmy sposób.

W małem kółku rozmowa powinna być ogólna, tak, ażeby wszyscy mogli wziąć w niej udział. Liczniejsze zebranie wymaga zwiększonej uwagi pani domu, gdyż musi wtedy z każdym zosobna zamienić parę miłych słów (nie odosobniać się z nikim na dłuższe rozmowy!) — a przytem czuwać nad przebiegiem wszystkich rozmów, ażeby móc wczas zapobiec ewentualnym przykrościom towarzyskim.



„HUMPA — HUMPA"

Przy stole, gdy towarzystwo za wielkie na wspólną konwersację, można rozmawiać półgłosem z sąsiadami. Tak samo na wystawach, na ulicy, w restauracjach, tramwajach i wogóle miejscach publicznych, gdzie zbytnie podnoszenie głosu zwracałoby uwagę. Wyjątkową przykrość sprawiają otoczeniu jednostki mówiące za głośno i zachowujące się hałaśliwie na koncertach, wykładach i w teatrze. Kto nie dorósł do tych kulturalnych rozrywek i nie umie słuchać w skupieniu — powinien opuścić salę.

Czystość języka bez obcych naleciałości i poprawna wymowa sprawiają bardzo dodatnie wrażenie. Mówić należy prosto, bez wyszukanych lub kwiecistych frazesów, wyraźnie, ani za prędko, ani za powoli — nie używać słów dosadnych lub zapożyczonych z lokalnych dialektów. Posługiwać się obcemi wyrazami albo cytatami jedynie wtedy, jeśli je dokładnie rozumiemy i nienagannie wymawiamy. W przeciwnym razie grozi ośmieszenie.

Z wyliczonych dotychczas warunków wynikałoby, że rola pani domu, ujmującej ster konwersacji w swoje dłonie, jest rzeczą arcyskomplikowaną. Ale to tylko pozornie tak się przedstawia. Każda z pań wynosi przecież z domu pewne zasadnicze wiadomości, dotyczące szlachetnego kunsztu obcowania z ludźmi. Resztę uzupełni obserwacja stosunków towarzyskich w kołach znajomych i wytężona dobra wola.

Trzeba na te cenne chwile przyjmowania u siebie miłych gości zapomnieć o sobie, starać się okazać każdemu serdeczne zainteresowanie i wytworzyć taką atmosferę ciepła, dobroci i subtelnej wyrozumiałości, ażeby każdy czuł się, jak u siebie w domu. Swój własny dar wymowy, chociażby najświetniejszy, odłożyć na inną sposobność, a pozwolić nim zabłysnąć innym. Przytem być sobą, nie pozować na inną, gdyż nic tak za serce nie chwyta, jak prostota w obejściu — a nic tak nie odpycha, jak fałszywy ton.

I jeszcze jedna dobra a wypróbowana rada. Ażeby nigdy nie być w kłopocie co do braku tematu i z najtrudniejszej sytuacji wyjść obronną ręką — należy przedewszystkiem dużo czytać. Pomijając w tej chwili zupełnie sprawę, czem jest dla myślącego człowieka dobra książka — już dla samej praktycznej tylko wartości w tym wypadku nie należy żałować wydatków na nowości literackie. Książki to niemal tak, jak żyjące istoty — a wedle Milton'a „zawierają pierwiastek życia równie czynny, jak dusza, która to życie w nie tchnęła."

One to wprowadzają nas w tajemniczy świat ducha, opowiadają o cudach przyrody i pięknie w życiu, pocieszają w cierpieniach, towarzyszą w samotności, a nadewszystko uczą nas! Cierpliwie, łagodnie, bezinteresownie wtajemniczają nas w skarby wiedzy, darząc najczystszemi rozkoszami.

Czyż więc nie lepiej o jeden sezonowy kapelusz mniej — a za to o parę mądrych i pięknych myśli więcej w głowie?

Efeb.

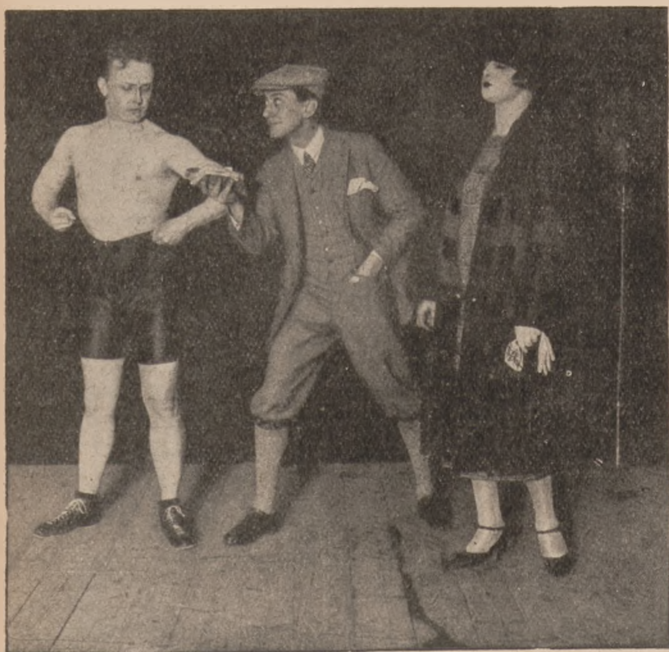
„HUMPA — HUMPA“

Struktura każdej *revue* przypomina mi zawsze bajkę o rosole ugotowanym z kołka. Myśl przewodnia — jeśli wolno tu użyć tego szkolarskiego powiedzenia — jest w *revue* tak prawie jak drewniany kołek obojętna dla smaku całości i (często!) jak kołek inteligentna. Lecz wokół tego kołka tyle jest różnych ingredjencji, tyle marchewek barwnych, wonnych pietruszek, fundamentalnego mięsa i ostrych cebulek (tych zwłaszcza bywa sporo!), że licznie reprezentowana woda wodociągowa zmienia się na smaczny rosół.



Warszawskie *Qui pro quo* daje nam w ostatniej swej *revue* taki właśnie rosół, przygotowany według owej znanej recepty. Rozbrajający w swej naiwnej perwersji pomysł: podróż dwóch sprytnych żydków, wysłanych przez rząd polski do Ameryki w celu zainkasowania tam pożyczki polskiej. Ale ten pomysł pozwala na prowadzenie pp. Macemachera (Tom) i Fajbusiewicza (Lawiński) przez przeróżne kraje tej i tamtej półkuli i, co za tem idzie, daje możność wprawienia w wątłe ramki pomysłu wielu barwnych i różnokolorowych obrazów. Widzimy więc naszych najserdeczniejszych pobratymców Czechosłowaków, którzy beztrosko śpiewają sobie przy gitarach — zapewne uradowani z korzystnej dla siebie umowy handlowej z Polską. Oglądamy prześliczne, żywe okazy staro holenderskiej porcelany. P. Ordonówna truje nas uroczym czarem niesamowitych oparów haszyszu w wokalno-choreograficznym poemacie „Ręce“. Francuski żołnierz i markietanka (pp. Pogorzelska i Bodo) śpiewają przemiłą piosneczkę. Balet i sen pana Fajbusiewicza — kończą część pierwszą. Ów sen jest gwoździem programu. Pan Lawiński śpiewa tu w niezrównanie komiczny sposób drastyczną nieco piosenkę p. t. „Ja chcę mieć dziecko“ z Pogorzelską. Ta piosneczka doprowadza całą salę do szaleństwa: wszyscy śmieją się, ryczą, klaszczą i starają się razem z doskonałym panem Fajbusiewiczem śpiewać.

W drugiej części udatny „poważny“ scetch, odegrany bardzo dobrze przez pp. Macherskich i Jarosy'ego (reżysera *Qui pro quo*, któremu ten teatrzyk bardzo wiele pod względem smaku zawdzięcza), sceny w Argentynie, tańce, pieśń murzyńska i wreszcie kilka świetnych scen z Nowego Jorku. Prócz tego raz jeszcze przemiła p. Pogorzelska i pan Bodo równie miły w sposób wybornie komiczny śpiewają piosnkę „Ach, panienko!“ Jest to historja pereł, ofiarowywanych sobie nawzajem w nagrodę miłości — rodzaj *perpetuum mobile* — opowiedziana a raczej odśpiewana w sposób wytwornie cyniczny.



Wszystko przeplatane jest dialogami pp. Fajbusiewicza i Macemachera, których żydowskie dowcipy (specjalność *Qui pro quo*) stały się już w całej Polsce słynne.

Orkiestra gra „humpa — humpa“, domy w Nowym Jorku (stolicy prohibicyjnego państwa!) chwieją się z opilstwa, latarnie gną się smętnie, uradowani pp. Fajbusiewicz i Macemacher wraz z całym personalem, rycząc „humpa — humpa“, też zdaje się nieźle łyknęli „monszajnówki“.

Śmieliśmy się przez cały wieczór — dobrze nie wiedząc z czego — ale przecież tu właśnie o ten śmiech chodzi. Wychodzimy powoli przez długie kurytarze, a rozstawione wszędzie gramofony wesoło wołają „Humpa — humpa!“ Wkońcu cała publiczność zaczyna ten interesujący refren powtarzać. Lecz oto schody i ulica. Trzeba śpieszyć do domu. — Sny dzisiejszej nocy pewno będą lekkie i wesołe. Niech żyje „humpa — humpa!“

Z. P.

Teatry

WARSZAWA *Czerwiec 1925*

Od dłuższego już czasu we wszystkich teatrach warszawskich rozbrzmiewa śmiech: śmieje się publiczność w Narodowym na „Spadkobiercy“ Siedleckiego (Ordon-Sosnowska i Frenkiel — wprost nieporównani!), śmieje się w Letnim na „Najszczęśliwszym z ludzi“ Kiedrzyńskiego, śmiała się w Małym ze „Znajomka z Fiesole“ Winawera, śmieje się w tymże Małym na „Niedojrzałym Owocu“ — nie mówiąc już o takich przybytkach nieustającego śmiechu jak teatrzyk „Qui-pro-quo“. Cóż z tego? Chociaż śmieją się wszyscy — jest ich tak niewielu! Oddawna już teatry warszawskie nie pamiętają podobnej pustki. Urzędowe sprawozdania z wpływów kasowych i frekwencji są wprost zatrważające. Tyle pisano o powodach i przyczynach tej jeneralnej „klapy“ (przepraszam za wyrażenie!), iż swoje rozważania na ten temat uważam za zbyteczne. Nie mogę jej jednak nie stwierdzić. Podobno na przyszły rok „będzie lepiej“. Tak mówią optymiści. Pesymiści natomiast twierdzą z całą pewnością — że „będzie gorzej“. Jedni i drudzy opierają swoje przypuszczenia na mających nastąpić zmianach. A ma ich być tyle! Osterwa „idzie“ do Wilna; Sziller obejmuje podobno teatry lwowskie; Leszczyński przenosi się do Narodowego, Ćwiklińska i Fertner wracają do Szyffmana (który obejmuje również teatr łódzki, mający tworzyć pewną całość z jego imprezą warszawską. To znaczy: gościnne występy aktorów, wypożyczanie kostjumów i dekoracyj i t. d.) Ile w tem jest prawdy — trudno dotychczas określić. Jedno jest pewne: miasto nie będzie prowadziło farsy (która zawiodła „kasowe“ nadzieje!), natomiast obejmuje kierownictwo nad teatrem popularnym, mającym spełnić zadanie wychowawcze. Ale dość plotek. Wróćmy do teatru! Pozwolę sobie zacząć od końca, myślę, iż może która z miłych Czytelniczek będzie miała sposobność osobiście stwierdzić zalety i wady „Niedojrzałego owocu“. Tym razem uosabia go p. Modzelewska. Autor kazał jej, osiemnastoletniej dziewczynie, udawać dziecko. Bo inaczej piękna Mama nie mogłaby mieć nadziei poślubienia lorda, który stara się o jej rękę. Lord jest człowiekiem prostodusznym (wspaniały Zelwerowicz) i podobnie jak jego siostrzeniec nie poznaje się na maskaradzie. Gdy jednak zaczyna się w nim budzić niezdrowy pociąg do „niedojrzałego owocu“ — osoby zainteresowane wyjaśniają sytuację. Oczywiście końca się domyślacie: Bobo zaręcza się z siostrzeńcem, lord żeni z Mamą. Streszczanie tego rodzaju sztuk ma tę fatalną właściwość, iż jest przeważnie bezcelowe, gdyż wartość utworu polega na momentach sytuacyjnych i grze aktorów. Pani Modzelewskiej moglibyśmy postawić jeden tylko zarzut: zbyt się „odmłodziła“. Pozatem wniosła na scenę niekłamany wdzięk i prawdziwą pogodę. Pan Daczyński był poprawny, aczkolwiek rola młodego lorda mniej mu odpowiadała, niż rola Syfona w „Znajomku z Fiesole“.



P. Gorczyńska, której talent marnuje się w lichych farsach

„Znajomkiem“ tym — a zarazem bohaterem komedji Winawera — jest Gabrjel Tender. Kim jest Gabrjel Tender — autor nam nie mówi. Jest to uosobienie usłużliwości. Usłużliwości pełnej wdzięku, wdzięk jest jedyną zasadą i podstawą szalonego chłopca, a może i całej komedji Winawera, będącej jednym ciągiem doskonałych kawałów, błyskotliwych dowcipów. Autor nie wyzyskał swoich „typów“. Naszkicował je lekko w tym celu jedynie, by móc powiedzieć dowcip, paradoks lub dać karykaturę ludzi i stosunków, charakterystycznych dla powojennych salonów. Nie udało mu się jednak grą słów przyćmić aktorów: doskonałe powiedzenia Winawera wypadły dziwnie blado, natomiast postacie Syfona (Daczyński), Derki (Symborski), Morysia Polichnowskiego (Grabowski) na długo zostaną nam w pamięci.

„Najszczęśliwszy z ludzi“ nie jest najlepszą komedją Kiedrzyńskiego. Ale daje szerokie pole do popisu Fertnerowi i pani Kamińskiej, którzy zbierali liczne oklaski. Jest to historja pani aptekarzowej Rajkiewiczowej, która dzięki zbiegowi okoliczności pozostaje wierna mężowi. Zwycięstwo Cnoty nad Pokusą. Grano tę komedję doskonale. Pani Gorczyńska była bardzo dobra w epizodycznej roli Beli. Nowości wystawiły „Słodkiego kawalera“ Falla. Czytelniczki moje znają już tę operetkę z recenzji krakowskich. Dodam, iż w Warszawie nie miała ona powodzenia — pomimo wspaniałej wystawy i męskich strojów pani Niemirowskiej.

W „Qui-pro-quo“ nowa rewja p. t. „Ile mi dasz“. Ale już dość na dzisiaj! *Z. P.*

KRAKÓW *Czerwiec 1925*

Dobija do mety sezon teatralny, likwidują się powoli całoroczne rachunki; dyrektorowie teatrów i artyści wchodzą zwolna w fazę nowych kontraktów i „targów“, publiczność pochłonięta jest planami letnich wywczasów...

Ostatni miesiąc sezonu w teatrze im. Słowackiego upłynął pod znakiem gościny Ludwika Solskiego; znakomity ten artysta, występując w szeregu rozmaitych odrębnych ról, dowodzi nam co wieczora niezbicie, że kpi sobie z biegu lat, że czas spływa po nim niepostrzeżenie, nie okradając go z niespożytej energji i z świętego zapału dla sztuki, którego zazdrościć powinnyby mu całe rzesze najmłodszych. Po niezrównanym Łatce w „Dożywociu“, Fredry i Fryderyku Wielkim, ujrzeliśmy przepysznego Harpagona w moljerowskim „Skąpcu“; pokrewny nieco typem Łatce, posiada on w każdym szczególe gry, począwszy od świetnej charakteryzacji całą gamę nowych indywidualnych rysów i nieprzebrane bogactwo pomysłowych „tri-



P. Irena Solska-Grosserowa w sztuce p. t. „W szponach śmierci“

ców“ aktorskich, które do łez rozśmieszają widownię. Po tej kreacji komiczno - charakterystycznej odtwarzał zkolei wielki artysta wstrząsającą tragiczną postać Horsztyńskiego w dramacie Słowackiego, ci zaś, którzy dzień po dniu patrzyli się na te dwie tak diametralnie różne role, zapytywali z podziwem: jestże to ten sam człowiek?

Po Horsztyńskim przyszła kolej na niegranych od lat 18 w Krakowie „Mieszczan“ Gorkiego; w ciekawym tym szkicu dramatycznym, w którym dziś, w perspektywie wypadków, widzimy wyraźne psychologiczne podłoże dla dokonanego później rewolucyjnego przewrotu w Rosji, odtwarzał Solski po mistrzowsku interesującą postać rozbrajającego swą naiwnością ptasznika Sierczychina, obok znakomitego gościa godnie spełniali swe zadanie p. Chmielewski jako organista Tietierew (ongiś popisowa rola Kamińskiego), p. Jednowski jako kupiec Bezsiemionow, p. Kosmowska jako Akulina, p. Żmijewska w roli Tatjany, p. Buczyńska w roli Kriwcowej i t. d.

Na ostatnie dwa występy wybrał Solski „Zemstę“ Fredry, w której po raz pierwszy przedstawił się Krakowowi w roli Papkina, wystudjowanego na zeszłoczne wznowienie „Zemsty“ w Warszawie, i szekspirowską komedję „Wiele hałasu o nic“, w której czarował swym zabawnym grubasem, sędzią Dogbery. Wszystkie występy świetnego artysty ratowały teatr im. Słowackiego przed zwyczajnemi w porze letniej „puchami“, świadcząc o tem, że wielki artyzm i wielka sztuka wytrzymują śmiało konkurencję ogórkowego sezonu.

Drugą współczesną atrakcją były dla Krakowa występy Ireny Solskiej na scenie „Bagateli“. P. Solska przybyła do nas z Warszawy bezpośrednio po triumfach, jakie święciła tam w teatrzyku „Szkarłatna maska“, gdzie przez siedm tygodni z rzędu grała co wieczór w dwu kolejno sztukach: „Symulacja“ i „W szponach śmierci“; w pierwszej z nich kreowała po mistrzowsku niesłychanie trudną i fascynującą rolę obłąkanej, opierając się na głębokich studjach, odbywanych poprzednio w klinikach psychjatrycznych we Lwowie pod fachowem kierownictwem znanych psychjatrów lwowskich prof. dr. Domaszewicza i dra Frostiga.

Na występy swe w Krakowie wybrała znakomita artystka dwie sztuki: „Yoshywarę“ Bachritza i „Miłość“ Wildgausa, w których partnerami jej byli: utalentowani artyści warszawskiego teatru im. Bogusławskiego: p. Strachocki i pani Życzkowska, a obok nich p. Ruszkowski i p. Niewiarowicz.

„Yoshywara“, sztuka egzotyczna, rozgrywająca się na tle chińskiego „miasta rozkoszy“, nie należy do zbyt udałych; charme jej egzotyczności popsuty jest ciężką robotą niemieckiego autora; mimo to warto ją było zobaczyć dla samej gry p. Solskiej, która jako „najpiękniejsza kobieta Azji“, chińska dziewczyna Si-shi („Serce Nocy“), przybrana w przecudny autentyczny kostjum chiński i przygrywająca na oryginalnej chińskiej gitarze (somase-ne), umie obojętne same w sobie słowa tekstu sztuki zmieniać w jakiś dziwnie egzotyczny szept i śpiew, którym towarzyszą wyzbyte piętna europejskiego wschodnio-leniwe, hieratyczne ruchy. Wszystko to wywiera na widzów jakiś niesamowity, tajemniczy urok, ma w sobie coś, co Francuz określa doskonale wyrażeniem: *quelquechose de troublant...*

„Miłość“ Wildgausa to rzecz bezsprzecznie ciekawa z punktu zagadnienia psychologicznego: czy możliwą jest bezwzględna szczerość i system wyjawiania najskrytszych, przelotnych choćby myśli i obnażania najtajniejszych zakątków duszy między dwojgiem kochających się ludzi? Główną rolę żony, Anny, odtwarzała p. Solska tak, jak ona tylko odtwarzać umie tego rodzaju postacie: każdy moment walki, rozgrywającej się w duszy kochającej kobiety, uwypuklając nietylko świetnie wypowiadanem słowem, lecz bardziej może mimiką, gestem, nieporównaną grą uśmiechów i pół-uśmiechów, a przedewszystkiem ekspresją spojrzeń. Wszystkie młode aktorki powinny uczyć się od Solskiej, jak należy się na scenie poruszać, uśmiechać i patrzeć.

Za zakończenie sezonu oczekuje „Bagatela“ przybycia znamienitych gości z Warszawy: Frenkla, Węgierki i Przybyłko-Potockiej.

Zoel



P. Irena Solska-Grosserowa i p. Brydziński w sztuce p. t. „Symulacja“

MARJA CORELLI 17)

„BEZ CZEGO ŻYĆ NIE MOŻNA...“

POWIEŚĆ — Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁA W. TOMASZEWSKA

Starannie ukrył szarfę, — długą, szeroką wstążkę z najdelikatniejszego jedwabiu, z girlandą rumianków na blado-niebieskiem tle, — najpierw przyglądał się jej krytycznie, dziwiąc się, jak też mógł wyglądać wówczas, gdy był malutkiem dzieckim, noszącym długie sukienki i tak piękne szarfy. Szarfa była przepojona zapachem tych samych perfum fiołkowych, któremi pachniała chusteczka matki, gdy ocierał sobie nią tej nocy łzy. Ukrywszy ją w sobie tylko znanym schowku, siadł do książek i z rozpaczliwym uporem zabrał się do nauki, chcąc stłumić dręczące go myśli. Najpierw przetłumaczył wiersz łaciński Wergilego prozą, potem zabrał się do Cezara, potem rozwiązał kilka trudnych zadań matematycznych, wysilając wszystkie moce swego młodziutkiego mózgu w tej usilnej pracy, gdy pod oknem rozległ się odgłos trąbki pocztowej, i ujrzał przez okno dyliżans, jadący z Lynton. Ojciec i profesor powracali nim. Za chwilę usłyszał ich kroki na żwirze przed domem i, wyglądając ostrożnie z okna szkolnego pokoju, ujrzał ich wchodzących do domu. I teraz — jakaś dziwna siła zdawała się powstrzymywać go od dalszej nauki — miał uczucie, jakby otrzymał jakiś nakaz czekania i oczekiwania na najgorsze, które stać się musi. Co najgorsze? Sam nie umiał sobie zdać z tego dokładnie sprawy, — a jednak...

Zerwał się — dzwonek dzwonił gwałtownie w kurytarzu, serce zaczęło mu bić dziko, stał bez ruchu w oczekiwaniu i trwodze. Naraz głos ojca, brzmiący piskliwie z nadmiernego gniewu, rozległ się po całym domu:

— Lionelu, Lionelu! Gdzież jest ten chłopak? Czy i on został włóczęgą, jak jego matka...

Zanim skończył, już Lionel zbiegł ze schodów i stał przed ojcem.

— Jestem tu, ojcze!

Mówiąc to, drżał cały, bo zdawało mu się, że ojciec chyba oszalał. Purpurowy z wściekłości, z oczyma nabiegłemi krwią, z wielkiemi wilczemi zębami, wbitemi w dolną wargę, przedstawiał istotnie straszny widok, — i napełniał Lionela takiem przerażeniem, że nie dostrzegł nawet stojącego w głębi pokoju za ojcem profesora Cadman-Gore, który wykręcał palce, aż kości w stawach trzeszczały i uśmiechał się zjadliwym uśmiechem. Skoro tylko mr. Valliscourt ujrzał syna, poderwał się jakby nadludzkim jakimś wysiłkiem, ściągnął gęste brwi tak, że utworzyły nad płonącemi oczyma jedną groźną czarną linję i odezwał się zduszonym wściekłością głosem:

— Och, ty tutaj! Czyś ty — przerwał i zaczerpnął głęboko oddechu — czyś widział matkę wczoraj?

— Tak, — odparł chłopak stłumionym głosem — widziałem ją wczoraj późno wieczorem. Byłem już w łóżku, gdy przyszła do mnie, obudziła mnie i pożegnała się ze mną.

Mr. Valliscourt obrzucił biedną, małą, drżącą figurkę chłopca piorunującem spojrzeniem.

— Pożegnała się z tobą? To wszystko? Czy może było jeszcze coś innego? Gadaj wszystko!

Zęby Lionela szczękały ze strachu.

— Powiedziała mi, — powiedziała, że jedzie w odwiedziny z przyjacielem, który uczyni ją szczęśliwą, — tu straszne przekleństwo wydarło się z ust mr. Valliscourta, co spowodowało profesora do kaszlnięcia, mającego prawdopodobnie wyrażać nawoływanie do pomiarkowania — i... i... powiedziała, że nie była dotąd szczęśliwa i że potrzebuje odmiany. Powiedziała, że powróci niedługo, i płakała bardzo i całowała mnie wiele razy. Obiecała mi, że powróci, jak tylko ją zawezwiesz. O Boże, — co to wszystko ma znaczyć? Ojcze, błagam cię, powiedz mi!

Zachwiał się, w oczach migotały mu iskry, brakło mu oddechu.

— Tak, dobrze, powiem ci! — krzyknął ojciec w najwyższym gniewie. — Powiem ci całą prawdę tak, jak ona mówiła ci same kłamstwa. Twoja matka jest podłą kobietą! nędznicą! — hańbą dla mnie i dla ciebie! Czy wiesz, co to jest, gdy kobieta porzuca męża i ucieka w nocy jak złodziej z innym mężczyzną? Jeśli nie wiesz, trzeba, byś się dowiedział, — bo to właśnie uczyniła twoja matka! Ten „przyjaciel“, co to ma „uczynić ją szczęśliwą“, — tu twarz mr. Valliscourta wykrzywił straszny grymas, — to sir Karol Lascelles, ten modniś, ten dandys, ta chluba najlepszego towarzystwa, — ona uciekła z nim, — ona nigdy nie powróci! Shańbiła moje nazwisko i chlubi się tą hańbą! Nigdy nie myśl już o niej, — nigdy nie mów o niej! Od dzisiaj — zapamiętaj to sobie — nie masz matki!

Lionel chwycił się drżącemi rączkami za głowę, jakby chroniąc się od jakiegoś strasznego ciosu. Serce biło mu młotem, — chciał mówić, lecz nie mógł wydobyć głosu ze ściśniętego gardła. Bezradny spoglądał na profesora i przez okamgnienie zdawało mu się, że widzi na jego pomarszczonej twarzy przebłysk współczucia, — lecz natychmiast wszystko zasłoniła mu jakaś mgła, — jedynie rozróżnić jeszcze mógł straszliwą twarz ojca i jeszcze straszliwsze ojcowskie słowa.

— Wiesz, co to znaczy haniebne życie — ciągnął dalej mr. Valliscourt z całą bezwzględnością! — Choć jesteś jeszcze taki młody, uczyłeś się już w historji o mężczyznach, — i o kobietach, — które przeniosły śmierć nad hańbę. Nie taką była twoja matka! Ona znajduje rozkosz w grzechu, — woli żyć w jawnej hańbie, niż uczciwie. W swym bezbrzeżnym egoizmie nie myślała ani o tobie, ani o mnie. Jest zła do gruntu, — w dawnych czasach byliby ją postawili pod pręgierzem albo wychłostali publicznie! Byłaby aż nadto zasłużyła na taką karę! Gdy to mówił, pięść jego zacisnęła się tak, jakby w wyobraźni ściskał w ręce bicz, którym miał smagać grzesznicę. — Gdy będziesz dorosłym mężczyzną, będziesz się rumienił na myśl, że była niegdyś twoją matką. Stała się wyrzutkiem uczciwego społeczeństwa, przykładem upadku, bezwstydu i podłości! Ona. —

Lecz w tej chwili Lionel postąpił naprzód kilka chwiejnych kroków i błagalnie położył rączkę na ramieniu ojca.

— Nie, nie, ojcze! Nie mogę znieść tego, — nie mogę tego znieść! — krzyczał. — Ja ją kocham! — Ja ją kocham! Kocham ją bardzo! Będę ją zawsze kochał, nie mogę inaczej! Całowała mnie jeszcze tej nocy, ojcze, — tak, i trzymała mnie na rękach, och, nie mogę tego zapomnieć, — nie mogę, — kocham ją — kocham! O matko, matko!

Wpółprzytomny widział płonące nad sobą oczy ojca, — postać ojcowska zdawała mu się wyrastać do olbrzymich rozmiarów, — słyszał jak przez sen mitygujący głos profesora, który mówił do ojca: — Chłopak ma dość, proszę go zostawić! — ...potem pod przemożnym przymusem począł biec i biegł precz od domu, nie wiedząc, dokąd ucieka, aby tylko oddalić się jak najbardziej, — gdziekolwiek, gdziekolwiek, — byle jak najdalej!, Dysząc, biegł drogą w oszalałej ucieczce, ranne słońce prażyło go w odkrytą głowinę, — słyszał niewyraźnie jakieś wołające za nim głosy, — aż naraz spostrzegł idącą mu naprzeciw jakąś znajomą postać, w której półświadomie poznał miss Clarindę Cleverly Payne, której nie widział od czasu wspólnej u niej z Montrosem odwiedzin. Biegnąc prosto do niej, zaczął wołać:

— Miss Payne, — czy to prawda? Och, proszę mi powiedzieć! — to nie może być prawdą! Moja matka nie ode-

szła ode mnie na zawsze, prawda? — Nie, z pewnością nie. Ona mnie kocha, — wiem o tem na pewno! Onaby mnie nie porzuciła. O, niech mi pani powie, kochana miss Payne! — pani nie myśli o niej, że ona jest taka zła, prawda?

Twarz poczciwej Clarindy przybrała wyraz najgłębszego, boskiego wprost współczucia. W jednej chwili dusza jej pojęła niewymowną męczarnię tej dziecięcej duszy, — jego zdumienie, przerażenie, jego straszne osamotnienie, — i bez słowa odpowiedzi otwarła mu swe ramiona. Lecz Lionel, z wzrokiem przykutym w strasznem oczekiwaniu do jej twarzy, spotkał wzrok jej pełen powagi i współczucia — i to jedno spojrzenie wystarczyło, by utwierdzić go w najgorszem przypuszczeniu. — Obolały do najistotniejszej głębi serca, ujrzał, jak niebo, ziemia i dalekie morze poczęło zataczać jakiś piekielny krąg, potem ciemność poczęła go ogarniać, postąpił jeszcze kilka chwiejnych kroków i upadł bezprzytomnie u jej stóp.

Rozdział XI.

— Najlepiej będzie wywieźć go stąd na parę dni — mówił doktór Hartley, jowialny i czerstwy typ prowincjonalnego lekarza, gdy, trzymając zegarek w jednej ręce, drugą badał słaby puls Lionela. — Potrzeba mu bezwarunkowo odmiany, trochę swobody i wypoczynku. Przebył silny wstrząs nerwowy, tak, tak — smutna to rzecz. — Słyszałem już w miasteczku o wszystkiem... straszne — prawdziwe nieszczęścia te przejścia rodzinne, — niestety, stają się takie wypadki coraz częstsze... straszny cios dotknął pana!

Te chaotyczne uwagi były skierowane pod adresem mr. Valliscourta, który, to blednąc, to czerwieniąc się pod wpływem pomieszanych uczuć, wywołanych wstydem, jaki sprowadziła na niego ucieczka żony, i przygnębieniem, wywołanem nagłą chorobą syna, dziwny przedstawiał widok. Lionela przyniosła w swych ramionach, ciężko zemdlonego, jakaś osoba obca, całkiem pospolita kobieta, która sprzedawała jajka, mleko i masło w miasteczku i nazywała siebie Clarindą Cleverly Payne, — co za komiczne nazwiska nadają sobie ci ludzie z Devonshire'u! I taka jakaś pierwsza lepsza kobieta miała czelność wyrażać jemu, jemu — Johnowi Valliscourt z Valliscourt swe współczucie w jego „wielkiem nieszczęściu", i śmiała żałować jego syna, — tak, — miała nawet odwagę odezwać się w obecności służby: Niech Bóg zmiłuje się nad tem kochanem, biednem jagniątkiem, pozbawionem matki! Było to wścibstwem i bezczelnością ze strony osoby, przezywającej się Clarindą, — i jak tylko odeszła, mr. Valliscourt wydał bezwzględny zakaz wpuszczenia jej do domu pod jakimkolwiek pozorem.

Następnie posłał do miasteczka po lekarza, który zjawił się bezzwłocznie i stosunkowo szybko zdołał ocucić Lionela z jego niezwykle silnego omdlenia, które trwało aż do jego przybycia. Lionel, oddechając słabo i nieregularnie, otworzył nawpół oczy i usiłował sobie przypomnieć, gdzie jest i co się zdarzyło.

— Tak, — ciągnął dalej dr Hartley z namysłem unosząc teraz delikatnie powieki chłopca i oglądając jego oczy — jabym go zabrał stąd tak szybko jak tylko możliwe, a panu konwenjuje.

— Wcale mi to wogóle nie konwenjuje — odpowiedział mr. Valliscourt poirytowany. — Ja nigdzie nie mogę z nim wyjechać, — jestem stale bardzo zajęty, — a jego nauka musiałaby na tem zbyt ucierpieć...

— Hm! — i doktór zmierzył go dziwnym wzrokiem od stóp do głowy. — No tak, o tem musi pan naturalnie sam zadecydować, lecz moim obowiązkiem jako lekarza jest poinformowanie pana, że jeśli nie zostanie stąd wywieziony i nie zmieni otoczenia, będzie narażony na rychłe i poważne niebezpieczeństwo. A jego organizm nie wydaje mi się dostatecznie silny do przetrzymania jakiejkolwiek poważniejszej choroby. Co do nauki, to obecnie nie może być o niej nawet mowy.

Mr. Valliscourt zmarszczył się i uczuł odrazu silne uprzedzenie do dr. Hartley'a. Czuł odrazę do tych niebieskich oczu, które patrzyły mu prosto w twarz z krytycznym wyrazem. Czuł, że ma znów przed sobą takiego „pół-barbarzyńcę", jak Willie Montrose, który wierzył w Boga i bawił się w „uczucia". Zakaszlał surowo i oschle odpowiedział:

— Może uda mi się namówić profesora Cadman-Gore...

— Kto to jest? — zapytał lekarz, kładąc miękką, łagodną, prawdziwie kobiecą dłoń na czole Lionela i odgarniając z niego loki. Mr. Valliscourt drgnął i — uśmiechnął się uśmiechem pełnym wyższości i politowania nad ignorancją tego „wieśniaka".

— Profesor Cadman-Gore — oznajmił z wymuszoną uprzejmością — jest jednym z największych myślicieli współczesnych. Jego sława jest wszechświatowa, — myślałem, że dosięgła nawet takich zapadłych kątów, jak Combmartin, a przynajmniej do jego wykształceńszych mieszkańców — i położył ironiczny nacisk na te ostatnie słowa. — Jest autorem wielu cennych dzieł naukowych i słynnym wychowawcą młodzieży. — Zasadniczo nie podejmuje się nigdy nauki młodszych chłopców, — dla mnie uczynił jednak zaszczytny wyjątek i, dowiedziawszy się, że musiałem nagle odprawić poprzedniego nauczyciela mojego syna, zgodził się wziąć na siebie trud przeprowadzenia dalszej nauki mego syna. Może zechce towarzyszyć mu w tej nakazanej przez pana gwoli odmiany wycieczce, — jeśli pan naprawdę uważa, że odmiana taka jest istotnie konieczną...

— Tak, uważam ją za bezwarunkowo konieczną — odpowiedział dr Hartley, napełniając łyżeczkę jakiemś lekarstwem i podając ją łagodnie Lionelowi do ust. A Lionel, który miał uczucie, że śni ciągle, wpół świadomie przełknął podany mu płyn. — Nie mówię wcale tego, że trzeba go wywozić daleko, bo nie należy go absolutnie przemęczać. Clovelly nadaje się całkiem dobrze. Proszę go tam wysłać z jego profesorem i pozwolić mu tam bujać dowoli. Im prędzej wyjedzie, tem lepiej. Tu będzie tylko rozmyślał i wspominał matkę. Najlepiej właściwie zrobiłby pan, gdyby pan natychmiast zamówił konie i wywiózł go jeszcze dziś po południu narazie do Ilfracomb, — a resztę drogi można odbyć potem powoli. Dyliżans byłby dla niego zbyt męczący. Pan powiada, że nie może pan z nim wyjechać?

— Wykluczone! — odpowiedział mr. Valliscourt, a zaciśnięte jego usta świadczyły o kipiącej w nim wściekłości. — Muszę udać się do miasta w pilnej sprawie na kilka dni, — muszę odbyć konferencję z moim adwokatem.

— Och, — ach! Tak, rozumiem! — i doktór skinął domyślnie głową. — Dobrze, a czy mogę się rozmówić z profesorem chłopca? — Chciałbym udzielić mu kilka wskazówek.

— Oczywiście. Jest w szkolnym pokoju, — pan pozwoli, że wskażę mu drogę.

— Chwilka jeszcze! — powiedział doktór i rozejrzał się po pokoiku, w którym się znajdowali. Była to sypialnia Lionela, gdzie zaniosła go zemdlałego poczciwa Clarinda. Okno było zamknięte, — doktór otworzył je teraz naoścież. — Jak najwięcej powietrza, — powiedział — pożywne jedzenie, oto, czego chłopcu potrzeba.

— I rozrywek także, nie powinno go się zostawiać samego. Proszę tu przysłać kogoś ze służby na czas do odjazdu.

— Proszę przysłać Lucy! — szepnął Lionel.

— Któż to taki, mój młody człowieku? — pytał doktór, pochylając nad nim pogodną, rumianą twarz.

— Lucy jest pokojową, — odpowiedział, spoglądając z ufnością w dobre jego oczy — to bardzo dobra i miła dziewczyna. Lubię ją.

Dr Hartley uśmiechnął się. — Doskonale! Zatem będziesz miał Lucy. Ta sympatyczna młoda osoba natychmiast przyjdzie do ciebie. No, a jakżesz masz się teraz?

— Dużo lepiej — odpowiedział łagodnie i z wdzięcznością chłopak. — Lecz, wie pan... ja nie mogę, — nie mogę zapominać łatwo... oj, nie mogę!

Na to doktór nic nie odpowiedział, tylko poprawił troskliwie poduszkę pod jego głową. Potem odszedł z mr. Valliscourtem, by zapoznać się z profesorem Cadman-Gore. A gdy cichutko nadeszła Lucy, którą zawezwano do łóżka chorego, zastała chłopca uśpionego, z niezaschłemi jeszcze śladami łez na wybladłych policzkach; a wzruszający ten widok cierpienia istoty młodziutkiej i słabej tak rozczulił poczciwą dziewczynę, że wyjąwszy chusteczkę długą chwilę płakała cichutko. — Jak ona mogła, — jak mogła opuścić takie kochane dziecko! — dziwiła się, myśląc o niesłychanej ucieczce swojej byłej pani. — Opuszczać jego — tu myślała o mr. Valliscourcie — to nic nadzwyczajnego, nie można się temu zbytnio dziwić, choć to bardzo niełanie, ale z nim żyć niełatwo! — lecz porzucić syna, - to doprawdy szkaradnie było z jej strony! — tak, szkaradnie.

Biedna Lucy! Nigdy nie czytała dzieł Ibsena i nie słyszała nigdy o „nowej moralności“, głoszonej na świecie. Gdyby była to wszystko wiedziała, byłaby w postępowaniu Mrs. Valliscourt odkryła ich oddźwięk. Ale cóż, miała tylko „barbarzyńskie“ pojęcia o macierzyństwie, — miała staroświeckie pojęcia o świętości obowiązków matki, była poprostu zacofaną, prostą dziewczyną. Ot, takie sobie „dziecko natury“, biedne, naiwne stworzenie, które nie znało ani Ibsena ani nowych poglądów! A poprzez całe stworzenie i poprzez wszystkie wieki Natura uczyniła najwyższem prawem miłość i obowiązek macierzyństwa!

Tymczasem dr Hartley dostąpił honoru uściśnięcia dłoni sławnego profesora Cadman-Gore, — i nawet nie odczuwał dostatecznie zaszczytu rozmowy z tym wielkim człowiekiem, o którą prosił, by mógł ją mieć bez świadków. Mr. Valliscourt, zdziwiony i dotknięty osobiście tem żądaniem, opuścił majestatycznie obu panów na przeciąg całego kwadransa, po upływie którego profesor był jeszcze głębiej, niż zwykle, zamyślony, a dr. Hartley pożegnał się.

A Lionel spał i spał, aż późnem popołudniem Lucy obudziła go i dała mu kubek zupy, która wydała mu się nadzwyczaj mocną, smaczną i woniejącą.

— W tem jest wino, prawda, Lucy? — pytał, patrząc zdumiony, na co Lucy skinęła mu głową z uśmiechem. — Komiczne, dają mi wino do zupy! Powiedz sama, czy to nie za dobre dla mnie?

Lucy pociągnęła lekko nosem i powiedziała, że ma katar.

— Wedle mnie ten cały dom jest wilgotny i to całe Combmartin moczarzyste i niezdrowe! A co panicz o tem sądzi? A czy panicz wie, że ten stary Głupi Jaś, który zaglądał do panicza przez kraty, przyniósł dziś te róże i prosił, żeby je oddać paniczowi i nie chciał wziąć za nie ani grosza? Oto są! — i podała Lionelowi pęk róż. — Śliczne, różowe, białe, czerwone, jakie świeże, całe rosą pokryte! Najpierw nie mogliśmy domyśleć się, czego chce, bo umie tylko bełkotać, — ale wkońcu zrozumieliśmy go. Powtarzał ciągle: „dla chłopczyka, dla chłopczyka!“, ciągle w kółko powtarzał to samo. Wzięliśmy więc te kwiaty, bo inaczej byłby się biedaczysko zmartwił, — a pieniędzy nie chciał wziąć ani rusz! Widział, jak miss Payne niosła panicza zemdlonego do domu, i myślał, że panicz umarł.

— Tak myślał? — szepnął Lionel. — I przyniósł kwiaty, myśląc, żem umarły! Biedaczysko! Strasznie patrzeć na niego, — ale widzę, że musi być bardzo dobry — a przecież nic nie jest winny temu, że tak strasznie wygląda, prawda?

— Pewnie, — potwierdziła Lucy z prostotą. — A zresztą Bóg nie sądzi nas przecież wedle tego, jak wyglądamy, tylko wedle tego, jacy jesteśmy.

Głęboki smutek powlókł twarzyczkę Lionela, gdyż słysząc te słowa, musiał pomyśleć o swej matce. Czy istniał Bóg, któryby czuwał nad jego matką? Czy tylko Atom, któremu jest wszystko jedno, narówni grzech, jak radość i zgryzota, życie, jak śmierć? Nie mógł jednak długo oddawać się tym dręczącym rozmyślaniom, gdyż ze zdumieniem spostrzegł, że Lucy pakuje do małej walizki jego rzeczy, że wdziewa na niego płaszcz i czapkę, że stawia go na nogi, na biedne, drżące z osłabienia nóżki; gdy jeszcze dziwił się tym przygotowaniom, kogo spostrzega wchodzącego do pokoju? Oto profesora Cadman-Gore w ogromnym, szeroko-skrzydłym kapeluszu, w niezwykle obszernym płaszczu, który służył mu niezmiennie do podróży, czy w mrozy, czy w największe upały. Lecz dziwniejszem od ogromnego kapelusza i płaszcza był uśmiech, który okraszał pomarszczoną i tak zazwyczaj srogą twarz profesora, tworząc całkiem nowe linje wśród zmarszczek, wyrytych rozmyślaniami, — i wyginając usta, zwykle srogo ku dołowi ściągnięte, wcale wesołym łukiem ku górze.

— Hallo! — zawołał słynny uczony z miną ożywioną i raźną. — Jakżesz się teraz masz?

— Dziękuję panu, już lepiej! — odpowiedział Lionel grzecznie. — Trochę mam jeszcze mętną głowę, oto wszystko.

— Och, tylko tyle? No, w takim razie niewiele! — i profesor stanął tuż przy chłopcu, uśmiechając się najuprzejmiej w świecie z widoczną chęcią przypodobania się chłopcu. — Czy umiesz jeździć na barana?

Lionel szerzej otworzył oczy ze zdumienia, — potem uśmiechnął się.

— Tak, oczywiście! Nieczęsto miałem sposobność, ale wiem, jak się to robi.

— A więc chodź! — i profesor odwrócił się, pochylił i nadstawił kościsty grzbiet. — Chodź, a trzymaj się mocno!

Lionel oniemiał ze zdumienia. Co — profesor Cadman-Gore, wielki uczony, niezwalczony logik, poniżający się do takiej czynności, jak noszenie małego chłopca na grzbiecie! Ee, — to niesłychane! Taka rzecz powinna stanowczo być opublikowana we wszystkich dziennikach pod wielkim napisem:

Niezwykle szlachetne zachowanie się profesora uniwersytetu oxfordzkiego.

(C. d. n.)



Dwie wytworne a proste suknie na wieczór do miejsc kąpielowych

OSTATNIA PRZEPROWADZKA

Na jakimś rogu bulwaru Saint-Germain Marja natknęła się na jednego ze swych znajomych.

— Doskonale, że panią spotykam. Miałem do niej pisać.

— O co chodzi? Pewno jakieś projekty na dzisiejszy wieczór.

— Nie. Tym razem nie. Pani lubi ludzi?

— Co za pytanie? Tak. Aż nazbyt.

— Pani ich rozumie?

— Może. O ile wogóle ktoś kogoś rozumie?

— Pani jest dobra.

— Nie pyta pan o to, tylko twierdzi. Dobra? Nie wiem. Pewno nie. A zresztą jak dla kogo.

— Otóż właśnie. Jak dla kogo.

— Proszę nie wzdychać, wstyd, w taki piękny jesienny dzień wzdychać!

— Ale dla niej pani będzie dobra?

— Dla kogo?

— Widzi pani. Chodzi o pewną staruszkę. Coś, niby literatka. Niewiadomo zresztą. To dawne dzieje. Jest sama, chora. Przenosi się do przytułka. Szuka kogoś, ktoby jej pomógł w uporządkowaniu książek i papierów.

— A, ostatnia przeprowadzka.

— Myślałem, że może Pani..., właśnie dla tych powodów, o których mówiłem.

Zmarszczyła brwi.

— Dobrze. Ale dla żadnego z tych powodów, o których pan mówił. Wogóle bez żadnego powodu. Bo mi się tak chce. Taka moja „królewska wola".

— Naturalnie. Zawsze „królewska wola". Bardzo dziękuję. Szkoda, że jesteśmy na ulicy w Paryżu. Nie mogę pani w rękę pocałować. Byłoby widowisko.

— Nie ma pan za co dziękować. Ani tu, ani gdzie indziej.

— Kiedy pani będzie mogła?

— Pójdę dziś.

*

Długo stukała do drzwi. Dzwonek nie dzwonił. Oczywiście. Jak zawsze w takich razach. Słyszała ruch w głębi mieszkania, ale nikt nie otwierał. Ruch coraz bliższy, powolne człapanie starych pantofli. Już. Malutka przygarbiona postać kobiety, która kiedyś musiała być piękną i wysoką. Twarz wyrazista, wielkie, bardzo wielkie, mądre, żywe, mocno czarne oczy, włosy siwe, przytulone do głowy w ten jakiś dziwny sposób, które znają tylko stare osoby — w Paryżu, czy we Lwowie.

Marja prędko objaśniła powód przyjścia. Staruszka popatrzyła trochę podejrzliwie i bardzo dumnie.

— A dlaczego pani się zdecydowała? Ja nie mogę odpowiednio pracy wynagrodzić...

— Chciałam pani pomóc...

— Pomóc? Pani mnie nie zna...

Przecież nie można jej powiedzieć, że pomóc komuś, to nieraz jest pomóc sobie i że „ostatnia przeprowadzka" winna być zawsze załatwioną bezinteresownie.

— Pani będzie łaskawa powiedzieć, o co chodzi. Dnie są krótkie. Trzeba się zaraz zabrać do roboty.

— A skoro pani tak się śpieszy. Zaraz, zaraz.

Długą i trudną bywa nieraz droga — od drzwi do wygodnego fotelu. I jaka radość, gdy się dotrze po spokojnego portu, ominąwszy niebezpieczeństwo krzeseł, co krok napotykanych stosów książek, starych pudełek, porozrzucanych papierzysków.

— Chciałabym... — Nagle bohaterskim tonem: — Ja się przenoszę. Chciałabym niektóre książki darować, niektóre wziąć ze sobą. Tam dużo brać nie można. Trzebaby wszystkie spisać, przejrzę, wybiorę. Widzi pani, ja się z tych książek uczyłam sama, a potem innych uczyłam.

Wybór bardzo trudny. Robiły jedną listę po drugiej.

— Są, proszę pani, książki historyczne, literackie i przyrodnicze. Może jeden dział usunąć. Będzie łatwiej. O co pani więcej chodzi?

Czarne oczy bardzo żywo zaprzeczyły:

— A nie. Jedne i drugie. Ja — wie pani — skończyłam Muzeum Baranieckiego. Najpierw byłam na przyrodzie, potem na literaturze. Oba kursy z odznaczeniem. A tak. To było bardzo dawno. Przeszło czterdzieści lat.

— A potem także panią przyroda i literatura narówni zajmowały?

— Zawsze. Jakże jedno od drugiego odłączyć?

Marja uśmiechnęła się: jedna z ostatnich polskich pozytywistek...

— Widzi pani... To historja powszechna... A czy są wszystkie tomy? Ona może mi być potrzebną. Czasem coś trzeba zobaczyć... Byłoby tak źle, gdyby nie mieć jej pod ręką...

— To odłóżmy.

— Tak — tak — odłóżmy. Tyle z niej skorzystałam...

Ważyły na wadze wspomnień i odkładały na prawicę i lewicę: wybrane i potępione. Gromadka wybranych rosła, potępionych tak mało. Bo jakże z kilkudziesięciu książek, wiernych dowódców, których zawartość w tyle głów się przelało, wybrać jedne, by już nigdy nie opuściły, a inne pożegnać na zawsze?

— Proszę pani. A możeby...

— Co? — Niespokojne spojrzenie.

— Możeby wziąć wszystkie. Będą pani potrzebne.

Do starych, jak do dzieci, trzeba mówić, udając, że się je traktuje jak dorosłe osoby. Bo przecież nie o to chodzi, że kogoś czy czegoś niema, — bez wszystkiego i bez każdego obejść się można, — ale chodzi o ten smutek rozstania, o świadomość konieczności rozstania!

— Czy pani sądzi, że możnaby? Tyle brać ze sobą... Czy pozwolą? Bo jeszcze może notatki — z kursów i późniejsze. Całe życie uczyłam się. Notowałam ciągle — każda przeczytana książka ma gdzieś po sobie ślad...

— Pozwolą. Jakoś się to zrobi. Notatki... Tych nie trzeba dzielić. Wszystkie będą pani potrzebne.

Nagła refleksja:

— Tyle lat do nich nie zaglądałam! Jakie zakurzone...

— Okurzy się je. Brzegi ściereczką powyciera. To nic. Nie zaglądała pani do nich, bo nie było konieczności. Ale trudno pozbawiać się rzeczy — które mogą być kiedyś potrzebne.

— Pani sądzi?

— Naturalnie, proszę pani.

Nagła wątpliwość:

— To może tylko zbyteczny balast. Przecież ja już niedługo...

— Ależ proszę pani...

— Nieraz chciałam.

— Tak się to mówi. Pani jest sama, to mogło jej tu być czasem źle. Ale tam będzie opieka troskliwa. Lepiej się pani będzie czuć... I częściej może nieraz zajrzeć do swych notatek. A... innych rzeczy, drogich, miłych, pani ze sobą nie bierze?

Myślała o sukniach balowych, leżących w stęchłym kufrze, spodniczkach z podpięciami, stanikach obcisłych, zapiętych z przodu na rząd guzików, połamanych wachlarzach, karnetach, zapisanych wybladłemi literami, o zwiędłych kwiatach. I listach miłosnych, które mają też zapach zwiędłych kwiatów...

— Nie. Cóżby?



302



306



303



304



305













309

310

311



312



313



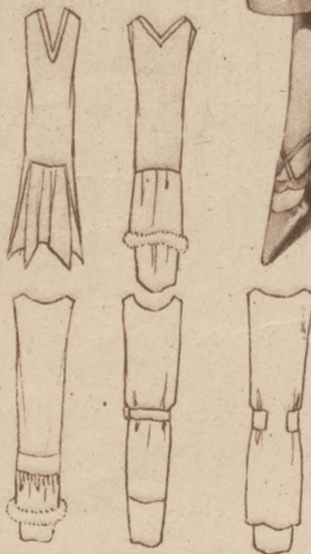
314



315

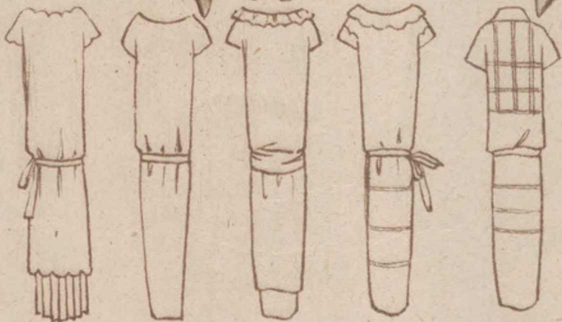


316





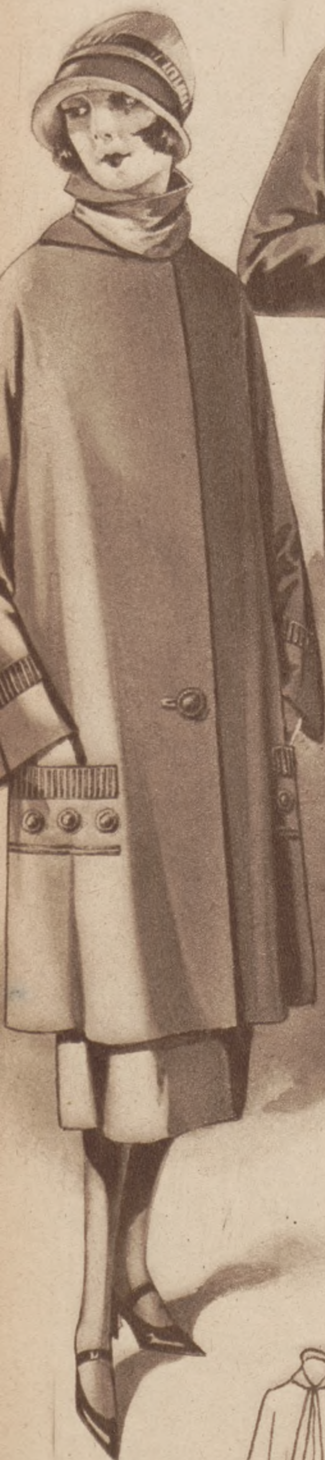

317


318
319
320


321



323
324
325
322
326



327



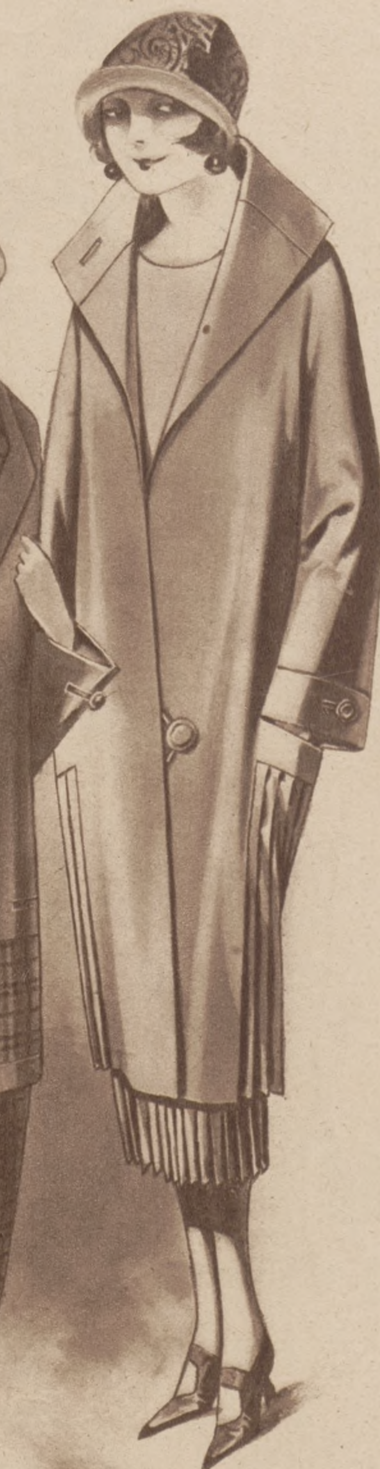
328



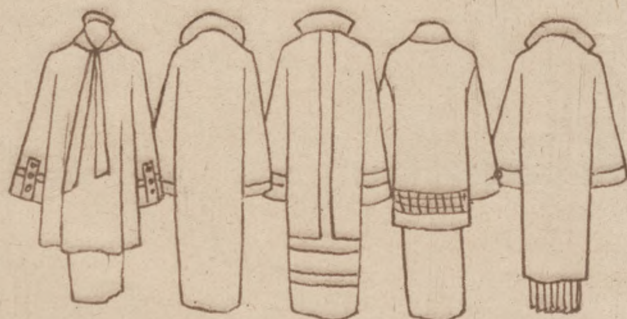
329



330



331




332
333
334
335
336



338
339
340
337
341

— Nie mam nic, czy pani uwierzy, z całego życia mego nie mam nic, prócz książek, żadnych pamiątek. Jakie biedne życie, gdy jedyną po mnie pamiątką są książki — przez innych pisane!

— Byłam kiedyś młoda. Bardzo dawno. Nie bawiłam się. Nie lubiłam.

— A...

— Pani chce spytać o miłość. Nie wiem. Dziś mi się zdaje, że nikogo nie kochałam. Może jednego z profesorów. Ale to tylko wtedy, gdy wykładał... Nic nie kochałam — prócz moich ideałów.

Aurelja Wyleżyńska (Paryż)

PLOTECZKI Z ZA KULIS EKRANU

BOJKOT CHARLIS CHAPLINA

Nie przebrzmiały jeszcze sensacyjne pogłoski o ślubie Charlis Chaplina z 16-letnią koleżanką po fachu Litą Grey, gdy już doszła wiadomość o rozwodzie tej pary. W obronie „pokrzywdzonej“ małżonki króla humoru wystąpiły amerykańskie kluby kobiece, ogłaszając bojkot filmów chaplinowskich. Rzecz ciekawa, czy na długo?

NAJWIĘKSZE RYWALKI... I KOTY

Glorja Swanson i Pola Negri są zaciętemi rywalkami i antagonistkami. Nie znoszą się wzajemnie i na każdym kroku jedna stara się zakasować drugą.

Różniąc się pod każdym względem, różnią się nawet pod względem sympatji... do kotów. Glorja Swanson uwielbia koty i otacza opieką wszystkie bezdomne kocury, zamieszkujące atelier. — Pola Negri nie znosi kotów; niedawno wydała rozporządzenie, aby wytępić wszystkie koty na terenie wytwórni. Z tego powodu nastąpiła oczywiście konsternacja w wytwórni — a rywalkom przybył jeszcze jeden powód do nienawiści wzajemnej.

POLSKIE KINA WE FRANCJI

We Francji uruchomiono 3 polskie kinematografy dla użytku polskiego wychodźtwa. Między innemi wyświetlano w nich ostatnio „Quo vadis“, który zyskał powszechny zachwyt. Podobno otwarte będą jeszcze inne teatry świetlne, wyświetlające filmy o polskim tekście.

FATALIZM W ŻYCIU GWIAZDY

Jedna z ładniejszych gwiazd amerykańskich Pearl White (bohaterka interesującego filmu p. t. „W kanałach Paryża“) jest fatalistką. Grywa ona przeważnie role karkołomne, nieraz naraża życie i nic sobie z tego nie robi, wierząc, że śmierć ją ominie. Jako jeden z podstaw swego fatalizmu artystka podaje fakt, iż dzięki przypadkowi (gdyż spóźniła się) nie brała udziału w locie lotnika Blakeley'a, który spadłszy z wysokości 600 metrów, zabił się na miejscu. Oby fatalizm jak najdłużej bronił przed wypadkiem uroczą gwiazdę.

MODOMANJA

Skłamałabym, twierdząc, że nie uznaję mody. Nie tylko uznaję ją, lecz i stosuję. Przeglądam żurnale, studjuję feljetony, dotyczące tego co modne, ba, nieraz nawet telefonuję do jednego ze źródeł tej mody f. Żmigrydera, aby poradzić się w tej czy innej dziedzinie tajemnic toaletowych. Ale natomiast nie lubię, nie cierpię, nie znoszę powszechnie znanej, a co gorsza, epidemicznej choroby, jaką jest modomanja.

Osoby, dotknięte tem cierpieniem (bo trudno to nazwać inaczej), zatracają poczucie krytycyzmu, gustu, wogóle przestają myśleć i zastanawiać się, tylko ślepo stosują się do wszystkiego, co głosi wszechwładna królowa-moda.

Wystarczy uważnie poobserwować na ulicy, w teatrze, pośród znajomych, aby zobaczyć, do jak smutnych rezultatów modomanja jest w stanie doprowadzić.

Daję kilka przykładów: gdy zaczęto pisać o przydłużaniu spódniczek, wszystkie — niskie, wysokie, chude, grube, młode i stare — na wyścigi zaczęły sprawiać sobie suknie po pięty. Na tańcach, przy sporcie, na ulicy — jednem słowem: wszędzie — każda z pań plątała się w fałdach za długiej sukni, dysharmonizując swe ruchy.

Trębacze mody zatrąbili o krótszych sukienkach — więc poszły w ruch nożyczki i dziś każda sylwetka zdaleka przypomina sylwetkę 10-letniej dziewczynki. Byłoby to może ładne, gdyby nie te... nogi. Ładne nóżki, dobrze obute i wysoko odsłonięte, co najwyżej wodzą na pokuszenie brzydką połowę ludzkości. Brzydkie nogi, wystawione na pokaz, mogą odebrać chęć do patrzenia „po nogach“. Trudno. Moda. Każda, co ma nogi jak słoń, albo krzywe, albo cienkie jak patyki, każda zaślepiona przez modomanję ubiera się w jasne pończochy i suknię po kolana.

Moda każe nosić wąskie spódniczki. Wszystkie tęgie, opasłe, rozlane, z nogi na nogę przestępujące, na wyścigi ze szczupłemi dążą do zredukowania szerokości spódniczki do minimum — i do uwydatnienia swych linji. Gdyby która z nich zechciała się krytycznie przejrzeć w lustrze, np. ztyłu... ale cóż... modomanja zaślepia.

Gdy kiedyś modne były kołnierzyki, każda z pań w największy upał dusiła się w takiej obróżce, twierdząc oczywiście, że jej to nie robi różnicy. Gdy przyszła moda sukni bez rękawów, każda o ładnych czy brzydkich rękach musi chodzić bez rękawów.

Są to rzeczy ogólne — można powiedzieć symptomaty powszechne.

Są jednak w tej chorobie i symptoma szczególne: np. przyjmowanie t. zw. „krzyków mody.“

Ktoś kiedyś dowcipnie określił, że o ile krzyk mody idzie na ulicę, przeistacza się na wrzask. I miał ten ktoś świętą rację.

Np. w zeszłym roku pokazało się kilka modeli kapeluszy z szalami. Było to nawet ładne. Cóż kiedy za bardzo się spodobało i po dwuch tygodniach na ulicy co druga kobieta miała kapelusz z szalem.

Tej wiosny ogłoszono, że najmodniejszym kolorem na kapelusze jest kolor lila. I oto na ulicach miast, a zwłaszcza stolicy, jakby fiołki zakwitły. Przynajmniej co druga kobieta ubrała się w lila kapelusz. Blada, różowa, opalona, ładna czy brzydka, każda zapragnęła mieć kapelusz lila, zapominając przez modomanję, że właśnie kolor lila należy do zdradliwych i że nie każdemu w nim do twarzy.

Ponieważ obecnie i kolor blonde zyskał obywatelstwo, więc druga połowa pań musi być ubrana w tym tonie. Są jeszcze i takie, co pragnąc połączyć obie te mody, kładą np. kostjum koloru blonde i lila kapelusz. O efekcie i mówić nie trzeba.

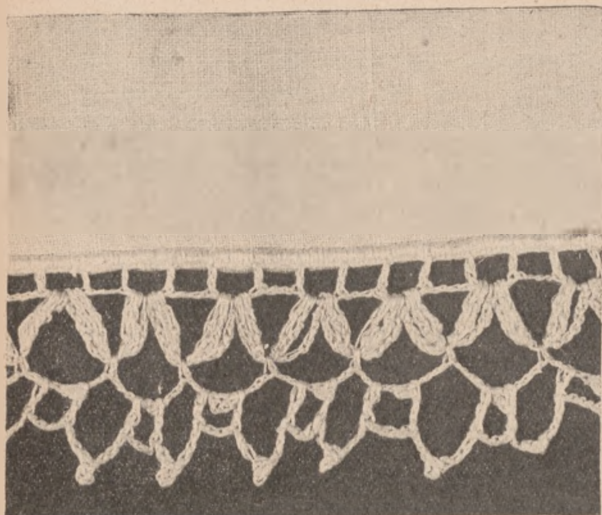
Nie trzeba już przypominać o modzie obcinania włosów, dzięki której przynajmniej połowa „kentyzowanych“ pań oszpeciła się jak naumyślnie, uważając oczywiście, że wszystko, co jest modne, musi być też i ładne.

Moda jest rzeczą potrzebną i ładną, trzeba jednak umiejętnie ją stosować.

Modomanja jest chorobą, chorobą, z którą walczyć musimy, tem bardziej, iż wdziera się ona nietylko w dziedzinę ubrania, lecz i w inne dziedziny życia. Ale o tym powiem innym razem.

Ir. K.

ROBOTY



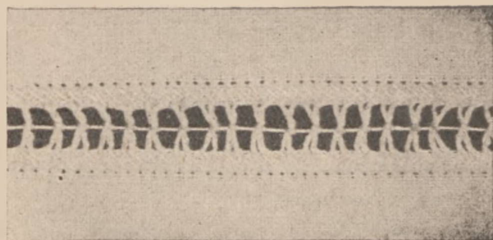
Szczegół do rys. 1

Rys. 1. **Kwadratowy obrusik,** ozdobiony modną bardzo robotą ażurową „Toledo", mereżką, motywami klockowanemi i szydełkowaną koronką. Kwadrat około 80 cm białej weby średniej grubości zdobi wkoło mereżka, której krawędzie są zabezpieczone z lewej strony krzyżowym ściegiem (zobacz szczegół). Gdy mereżka gotowa, należy wykonać w rogach robotę „Toledo", wyciągając starannie w tkaninie odpowiednią do wzoru (szczegół naturalnej wielkości) ilość kwadracików, przyczem ośm nitek wyciąga się, a cztery zostawia. Pozostawione nitki obrzuca się bawełną, podobnie jak dziurki angielskie. (Próbować na osobnym kawałeczku!) Brzeg dziergany wykańcza szydełkowana koronka, przerywana okrągłemi motywami klockowemi, które można też zastąpić szydełkowanemi.

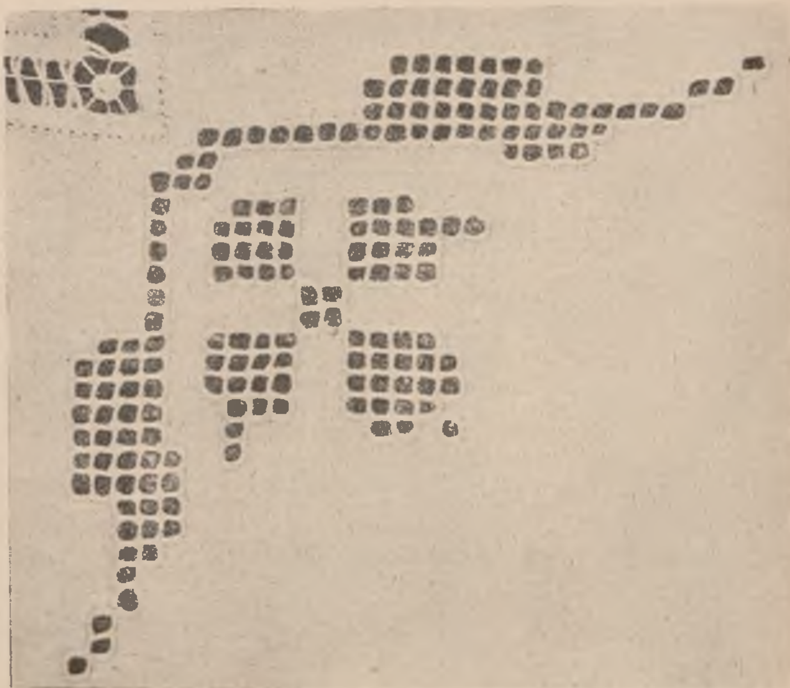
Rys. 1

RĘCZNE

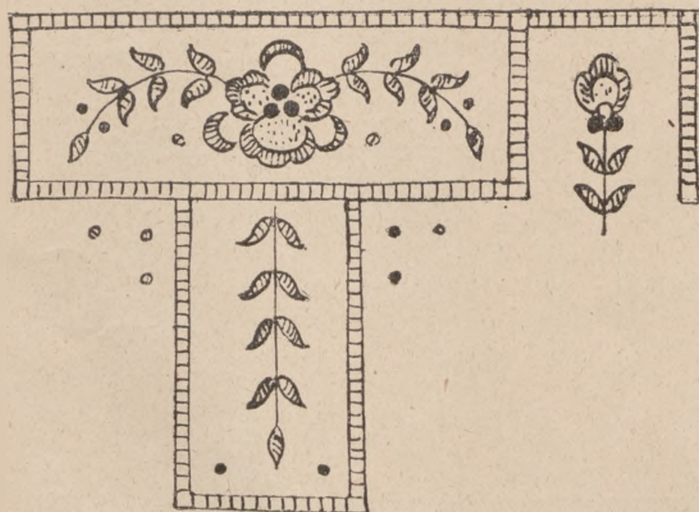
Rys. 2 A, B, C i D. **Motywy haftu białego** do ozdoby wykwintnej bielizny. Przeważa w nich robota mereżkowa, dająca się dobrze łączyć z haftem atłaskowym, kropkami itd.



Szczegół do rys. 1



Szczegół do rys. 1

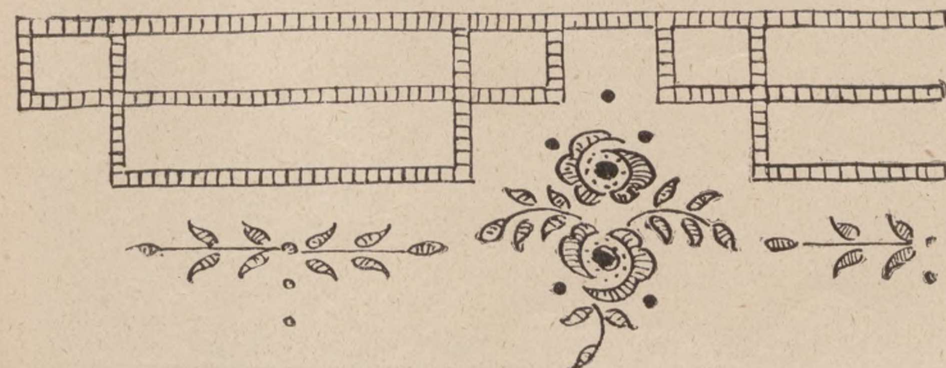


Rys. 2 A



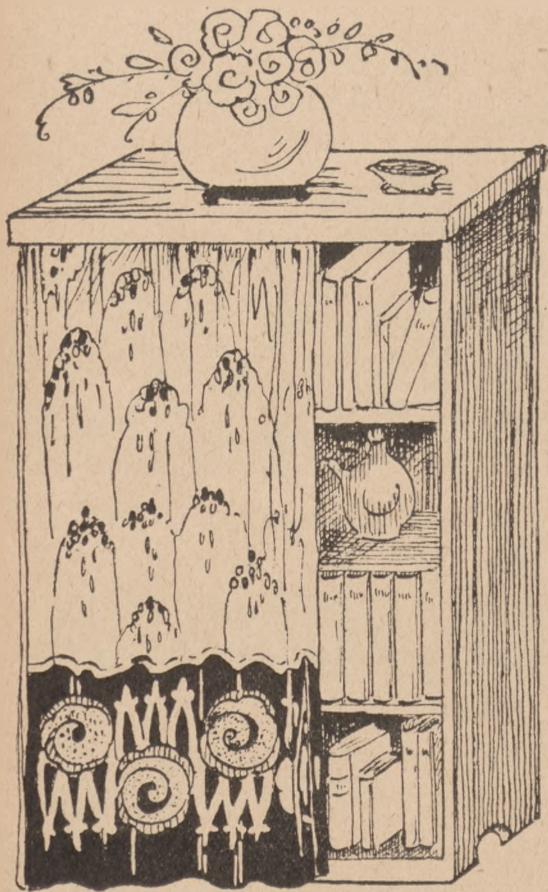
Rys. 2 B

Wszelkich porad w sprawach robót ręcznych udziela Redakcja — Dostarcza się wzorów



Rys 2 C

ROBOTY



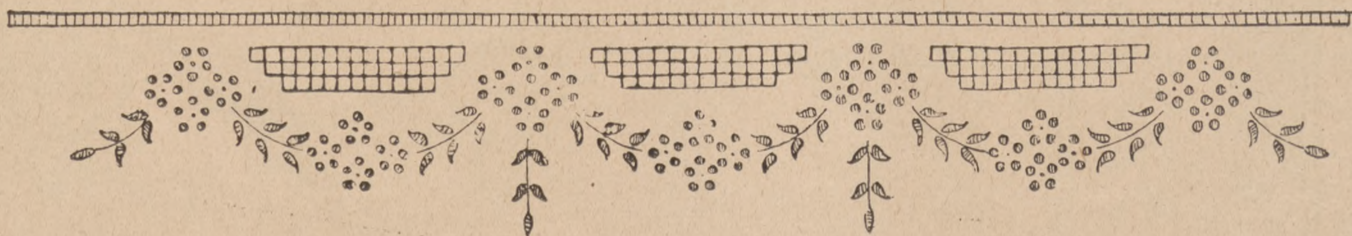
Rys. 3

Rys. 3. **Zasłona do bibljoteki.** Firanka, dająca się wykonać w rozmaitych rozmiarach, była na naszym wzorze zrobiona z repsowego płótna, ozdobiona robotą batikową, o kremowej barwie tła, zaś rezedowo-zielonej i miedzianej barwie ornamentu. Wzór można też wykonać haftem płaskim albo łańcuszkiem, można też kombinować te techniki razem z aplikacją. Równie efektownie wyglądałaby taka zasłona, wykonana na wełnianej alpace, górna część gładka, a dolna z właściwym ornamentem, ozdobiona naszytym sznurkiem w odmiennym, z górą harmonizującym, kolorze. (Kombinować też można wreszcie sukno z materją meblową i t. d. Wzór batikowany lub malowany daje się też zastosować na szal.)

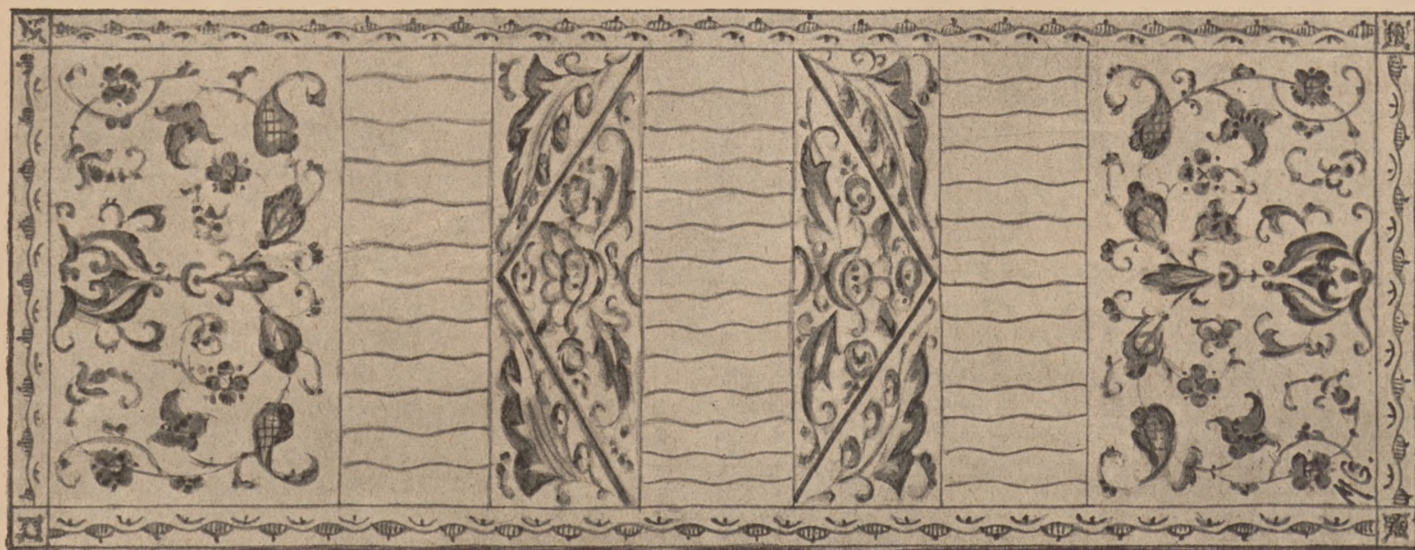
Rys. 4. **Makata** z płótna samodziałowego, rozmiar 160/60 cm, haft płaski i gałązkowy barwami staroróżowemi, rezedowemi, pawiemi, starem złotem, bronzowem. Można też haftować w kilku odcieniach miedzianego i starego złota. (Zobacz arkusz wzorów)

OPIS WZORÓW NA OKŁADCE:

Portjera i lambrekin z płótna samodziałowego. Łatwy i prędki haft sznurkowy. Odpowiednia kapa. Ciężka portjera z sukna ozdobiona łatwą a efektowną aplikacją. Odpowiednia kapa na stół.

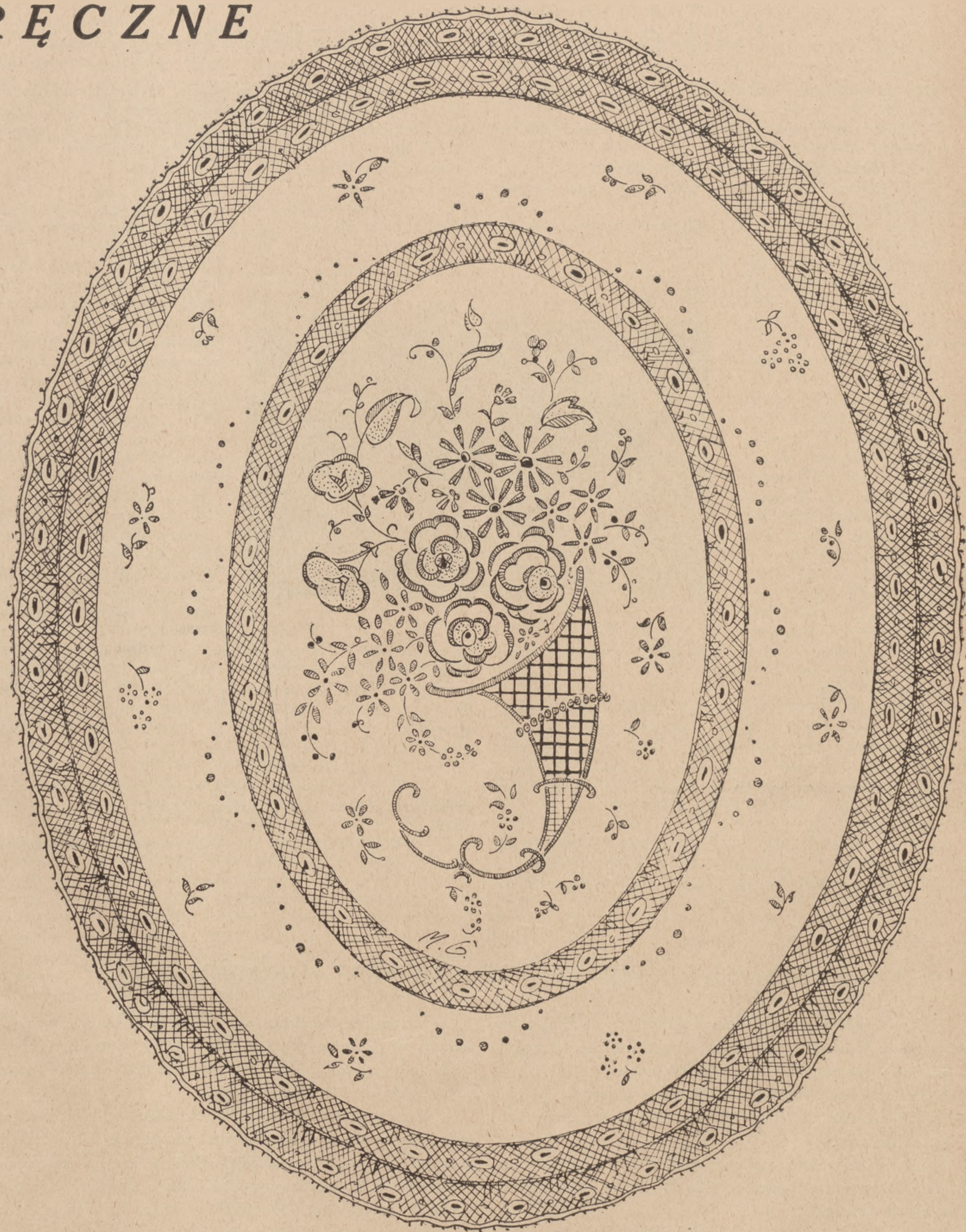


Rys. 2 D



Rys. 4

RĘCZNE



Rys. 5. **Kapka na wózek dziecinny.** Owalną kapkę z białego batystu, inkrustowaną wstawką i koronką Valensienne, zdobi motyw rogu obfitości na środku, a ułożone w półkola kropki i rzucane kwiatki brzegiem. Jak z ryciny widać, kwiaty, liście i gałązki wykonane haftem atłaskowym, piaskiem i sznureczkiem, róg obfitości jest cały ażurowany. Półokrągłą poduszkę do tego odpowiednią zdobi tylko wzór brzegu, t. j. kropki i rzucane kwiatki. Środkowy motyw daje się użyć jako ozdoba np. jednego rogu poszewki pościelowej lub jako środek batystowej poduszki na kanapę i t. p. — (Obacz arkusz wzorów).

Kilka słów o Jastarni

Gdy po powrocie z nad morza zjawiłam się u znajomych, okrzykom nie było końca:

— Jakaż pani czarna, jaka opalona. Napewno powraca pani gdzieś z południa.

— Z Jastarni tylko — odpowiadam skromnie.

— Z Jastarni?... A gdzie to jest proszę pani — pada wahająco pytanie.

— Na półwyspie Helu, nad polskiem morzem... Taka sobie mała cicha wioska rybacka, dużo piasku, dużo wody, z jednej strony otwarte morze, z drugiej zatoka Pucka, las sosnowy, swoboda — recytuję jednym tchem.



— A gdzie się tam mieszka?

— Jak dotąd w chatach rybackich; czyściutko w nich zresztą i wygodnie. Obecnie stawiają już oddzielne domki dla letników, a w najbliższych dniach zaczyna się budowa domu kuracyjnego. Jada się w pensjonatach, których jest aż trzy, w oberżach kaszubskich... czasem u siebie.

— A jest co jeść?

— O jej... są nawet melony, brzoskwinie, winogrona, banany i tym podobne frykasy. Wikt zresztą całkiem niczego. Dużo ryb, jest mięso, są leguminki.

— A czy drogo?

— Niebardzo. Taniej niż w Helu, Gdyni czy Orłowem, zresztą to zależy od praktyczności gospodyni. Dużo nie można wydać, bo niema gdzie. Niema sklepów większych (są sklepiki spożywcze i „bazar“ zawierający wszystko), restauracji i cukierni w europejskim tego słowa znaczeniu też niema. Niema pokus... jest słońce i morze a to nie kosztuje?

— A co się tam robi?

— Co..., a to pytanie. Bawi się najlepiej w świecie, od rana do wieczora. Do południa wraz z dziećmi grzebie się w piasku, gra się w piłkę, ogląda toalety, plotkuje, kąpie w morzu. Po obiedzie drzemka na piasku, na plaży; podwieczorek, spacer... wieczorem dancing w oberży, przy dźwiękach kaszubskiej orkiestry lub... „Titiny“ na gramofonie. Do jedenastej tańczy kto żyw, a najwięksi przeciwnicy tańca marzą o pojęciu tajemnic Terpsychory.

— A toalety?

— Toalety bajeczne. Na plaży obowiązują kostjumy kąpielowe, w które się każda pani natychmiast po przybyciu obleka. Przeważnie używane są czarne lub czarne z białem, kolorowe wyglądają nieelegancko. Największym powodzeniem cieszą się zawsze zwykłe trykoty: krótkie, obcisłe, zwłaszcza dla pływaczek są jedyne. Pojawiają się jednak długie bluzy, lub spódniczki — oczywiście z trykotu wełnianego lub jedwabnego. Wszelkie kostjumy „domowego wyrobu“ z satyny, zwłaszcza na plaży „na sucho“ jeszcze ujść mogą, ale po wejściu do morza dają efekt zgoła ujemny. Czepki kąpielowe powinny być bajecznie kolorowe. Również płaszcze kąpielowe. Uzupełnieniem stroju każdej pani są kolorowe kościane bransoletki — noszone podobno jako talizmany — w tym sezonie wprowadzono również modę białych paciorków lub korali. Poza plażą sukienki skromne, przeważnie jasne, do tego szale kolorowe, lub jumpery (jako że wieczorami bywa zawsze chłodno). No, i moda obowiązująca: pantofelki bez pończoch: nawet na bale i dancingi tak się każda z pań ubiera.

— Jednem słowem: raj?

— Raj... stanowczo, radzę wszystkim, kto jeszcze nie spróbował pobytu nad polskiem morzem, zapoznać się z Jastarnią.

— Więc na przyszły rok w lipcu tam się spotykamy!

Ir. K.

PRZEMYSŁ HAFCIARSKI W MAKOWIE MAŁOPOLSKIM

Haft ręczny jako przemysł domowy wśród ludności miejscowej i okolicznej w Makowie znanym jest od przeszło stu lat zgórą.

Haftem zdobiono bieliznę i ubrania ludowe.

Celem podniesienia tego artystycznego przemysłu założył w r. 1896 ówczesny Wydział Krajowy Zawodową szkołę hafciarską w Makowie.

Nauka w tej szkole trwa przez 3 lata, w ciągu których uczenice, dziewczęta w wieku od 12 do 18 lat, kształcą się na zawodowe hafciarki.

Plan nauki obejmuje prócz przedmiotów fachowych hafciarstwa i rysunków, także przedmioty dokształcające, jak religję, język polski, historję i geografję Polski, stylistykę i rachunki przemysłowe.

Wyszkolone hafciarki po ukończeniu nauki pracują na miejscu w „Związku pracy kobiet“, który dostarcza im zamówień, lub wyjeżdżają do pracowni bieliźniarskich i domów prywatnych dla haftowania wypraw.

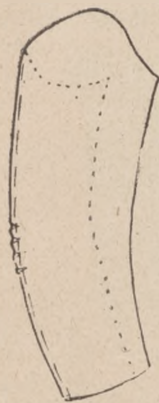
Wyroby hafciarskie szkolne tak białe jak kolorowe, wykonywane wedle wzorów własnych kompozycji tak uczenic jak nauczycielki rysunków, znajdują zbyt w kraju i za granicą, lecz obecnie z powodu drożyzny i braku surowca, t. j. odpowiednich materjałów do haftu w kraju, produkcja tychże w szkole poza nauką jest ograniczona.

Ewa Antonowiczówna
kierowniczka szkoły.

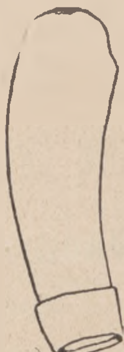
KURS SZYCIA I KROJU

10)

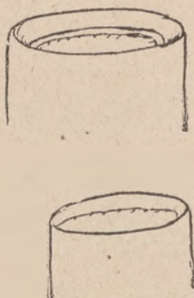
Po przyszyciu kołnierza próbuje się i odznacza miejsca na guziki zapomocą szpilek. Guziki przyszywa się, jak już wskazano, z łodyżką. Następnie wszywa się rękawy. Jeżeli rękaw składa się z dwóch części, sfastrygowuje się szwy zewnętrzne, naddając szerszą część rękawa odrobinę w łokciu, rys. 27. O ile płaszcz nie dostaje podszewki, lamuje się poprzednio szwy. Po zszyciu



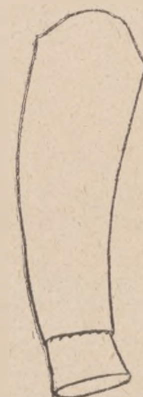
Rys. 27



Rys. 28



Rys. 28a i 28b

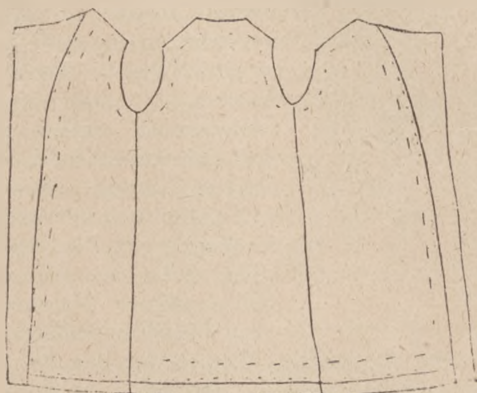


Rys. 29

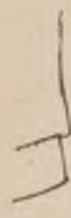


Rys. 30

rozprasowuje się szwy, wywraca rękawy i przyszywa mankiety, wykończone zupełnie. Można je przyszyć w ten sposób, że wsuwa się mankiet na rękaw, zagina obydwa dolne brzegi równo do wnętrza, rys. 28, i tam wykończa podszewką rękawa lub listewką, rys. 28a i b. Grubsze materjały nie nadają się na ten sposób wykończenia. Jeżeli nie strzępią się, wsuwa się mankiet wywrócony na lewą stronę dolnym brzegiem na 2 cm w dolny otwór rękawa, rys. 29, i przyszywa niewidocznemi ściegami dolny brzeg rękawa do mankietu, poczem wywraca się mankiet i wykończa jego dolny brzeg, jak poprzednio wskazano. Można jeszcze stosować trzeci sposób. Wówczas wykończa się dół rękawa, zagięty do środka podszewką lub listewką, i wsuwa wywrócony zupełnie podszewką górą i dołem wykończony mankiet do środka wywróconego rękawa, tak, ażeby dolny brzeg mankietu był wysuniętym na 2 cm, rys. 30, i przyszywa ściegiem krytym rękaw do mankietu, poczem wywraca się cały rękaw. Wszycie rękawa uskutecznia się, jak już wskazywano, wypróbowawszy poprzednio dobrze. Szew rozprasowuje się dobrze i lamuje brzegi, o ile płaszcz nie będzie cały na podszewce. Teraz zakłada się zalamowany dolny brzeg płaszcza, próbując przedtem czy równy i przyszywa ściegiem krytym lub krzyżowym. O ile płaszcz dostaje podszewkę, przyszywa się nielamowany brzeg ściegiem krzyżowym. Naostatku przyszywa się wieszadełko z rulonika, zrobionego z materji lub podszewki, nie za duże, aby nie wystawało. Końce wieszadełka wsuwa się pod podszewkę i tam przyszywa mocno lub pod lamówkę, pod którą mieści się szew kołnierza.



Rys. 31

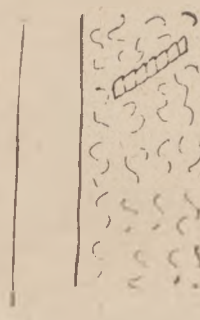


Rys. 32

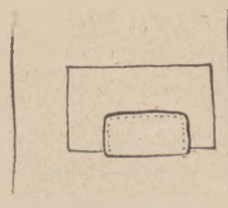
Zapodszewkowanie płaszcza nie przedstawia większych trudności. Podszewkę kraje się tak obszerną jak płaszcz, ujmując tylko zprzodu tyle, ile zakrywają wyłogi. Zanim zszywa się szwy płaszcza na ramieniu, zszywa się i rozprasowuje boczne szwy podszewki i przyfastrygowuje ją na rozłożony płaszcz wzdłuż szwów i w odstępie 5—7 cm wzdłuż brzegów, nie wyciągając jej. Następnie zakłada się podszewkę i przyfastrygowuje na wyłogach i dołem, gdzie się ją trochę naddaje na długość, żeby po przyszyciu nie wciągała brzegu płaszcza do środka i w górę. Naokoło wycięcia szyi i rękawów fastryguje się również. Rys. 31 przedstawia podszewkę przyfastrygowaną, rys. 32 pokazuje, jak się dołem naddaje podszewkę. Po zszyciu ramion, rozprasowuje się szwy, na które przyfastrygowuje się brzeg podszewki tyłu, a brzegi podszewki przodu zakłada się i przyfastrygowuje na podszewkę tyłu. Rękawy do zapodszewkowania wywraca się na lewą stronę i przyfastrygowuje zszytą i wyprasowaną podszewkę na kilka cm od brzegów, zakłada dolny brzeg i przyszywa go do rękawa ściegiem krytym. Następnie przymocowuje się podszewkę niewidocznemi ściegami wzdłuż szwów do materji. Po przyszyciu rękawów i rozprasowaniu szwów przyfastrygowuje się podszewkę płaszcza do szwów i przyszywa na nią zagiętą podszewkę rękawów ściegiem krytym. U szyi tak samo zagina się podszewkę i przyszywa. Przed obszyciem podszewki naokoło dobrze jeszcze spróbować, czy nigdzie nie wygląda lub ściąga, przez co unika się późniejszego prucia. Pamiętać należy, żeby podszewkę dać luźno i żeby ściegi przyszycia były niewidoczne. Kto lubi mieć kieszonkę w podszewce, wykonuje ją jak rys. 8 lub 9a; ładnie wygląda taka kieszonka z układaną riuszką z podszewki, rys. 23. Kieszonkę wszywa się w prawy przód, z zacięciem zwróconem pod kątem ostrym do przedniego brzegu, żeby nie trzeba rozpinać całego płaszcza, tylko móc wygodnie sięgnąć do kieszonki. Gdy już wszystko gotowe, trzeba cały płaszcz dobrze wyprasować. W tym celu przygotowuje się dwa kawałki lnianej lub bawełnianej materji, jeden cienki, drugi grubszy. Tęgi materjał prasuje się najpierw bez podkładania płatka pod żelazko. Przy prasowaniu kieszeni dobrze podłożyć złożony papier pod klapę, by nie wycisnęła się na materję, rys. 34. Tak samo podkłada się papier pod wyłogi, jeżeli chce się zaprasować ich zgięcie. Jednakowoż obecnie nosi się wyłogi miękko wyłożone, tylko przy ściśle angielskich modelach można je zaprasować, przyczem jednak bardzo trzeba uważać, żeby zgięcia nie wyciągnąć, inaczej będzie brzydko odstawać.

Po wyprasowaniu na sucho bez płatka, macza się grubszy płatek, wykręca i prasuje prędko świecące miejsca, nie wysuszając ich, lecz także nie mocząc ich zanadto. Parujący jeszcze płaszcz wiesza się na wieszak, by wyschnął. Delikatniejsze materje prasuje się odrazu przez lekko zwilżony cienki płatek

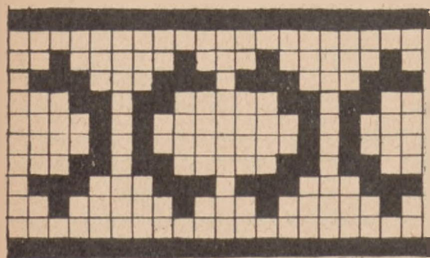
(C. d. n.)

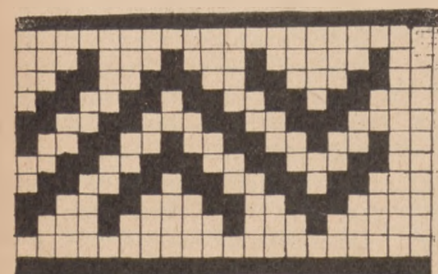


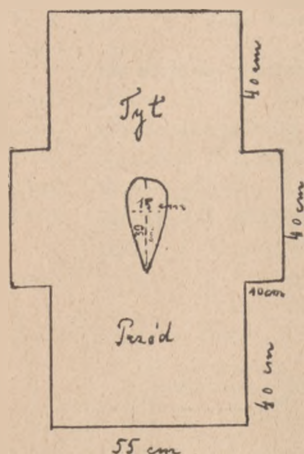
Rys. 33



Rys. 34









JUMPER SZYDEŁKOWANY Z JEDWABIU

STOSOWNY ZWŁASZCZA NA LATO

Jumper zawsze jeszcze cieszy się powodzeniem u kapryśnej mody, lecz niewiadomo, jak długo; dlatego warto robić go samemu, gdyż zawsze potem można go spruć i użyć materjały zużyte na inną robotę ręczną.

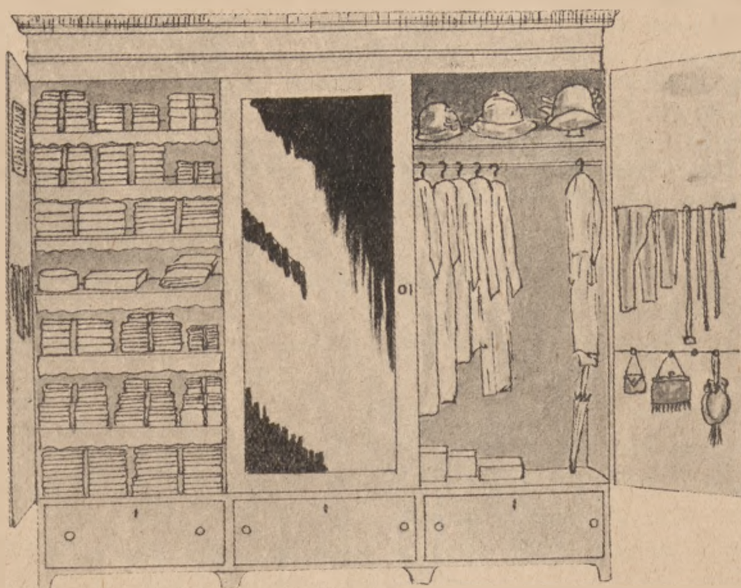


Nasz jumper bardzo łatwy do wykonania. Robi się poprostu, podług formy, siatkę w ten sposób, że na łańcuszku robi się 1 raz zawijany słupek, 1 oczko w powietrzu i t. d., a w dalszych rzędach wbija się słupek w górne oczko słupka i 1 oczko w powietrzu. Na gotowem tle, zszytem na bokach, ceruje się jak na siatce jakikolwiek wzór krzyżykowy.

Nasz jumper ma na niebieskiem tle żółty i czarny wzór. Kraj rękawków, wycięcia i dołu zdobiony czarnym wzorem w szachownicę.

PORZĄDEK W SZAFACH

Powojenna bieda mieszkaniowa zmusza niejedną rodzinę do ograniczenia się do jak najmniejszej ilości mebli. Wskutek tego szafa musi pomieścić garderobę i bieliznę dwóch lub nawet więcej osób. Zwykle panuje w takiej szafie wielki chaos, gdyż właściwie trzebaby kilka razy na tydzień zrobić gruntowny porządek, na co najczęściej nikt nie ma czasu. Właściciele takiej szafy zawsze szukają czegoś. Zwykle śpieszą się bardzo i w poszukiwaniu jednej rzeczy przewracają wszystkie inne. Rzuciwszy okiem na naszą rycinę, przedstawiającą „idealną“ szafę, woła niejedna gospodyni: „Gdzież miałabym czas zawsze tak składać i wiązać bieliznę!“ A przytem nie pomyśli, że przy codziennem prawie, rozpaczliwem szukaniu traci tyle czasu, ile nigdy nie zużyłaby na utrzymanie porządku w rozumnie urządzonej szafie. Najgorzej wygląda zwykle w szafie na bieliznę. Przeważnie ma ona za mało półek, wskutek czego stosy bielizny muszą leżeć wysoko jedne na drugich, przez co łatwo się wywracają, a już jest poprostu klęska, gdy musi się coś wyjąć z samego spodu.



Dlatego przedewszystkiem powinna szafa mieć dużo półek. Czasy, kiedy miało się bieliznę całemi tuzinami z dość tęgiego materjału, minęły teraz. Cieniuchne płótna i jedwabie, z których obecnie wyrabia się bieliznę damską, i zredukowanie tejże do kombinacji krótkiej i wąskiej, wszystko to zmniejszyło jej objętość. Jeżeli dwie osoby korzystają z jednej szafy, powinny mieć osobne półki. Jeśli szafa zawiera bardzo dużo bielizny, dobrze jest sporządzić koło półek, mieszczących rzadko używaną bieliznę, spis tejże, żeby nie szukać po innych półkach. Wiązanie bielizny wstążkami zabiera dość czasu, a wstążki łatwo się niszczą. Dlatego bardzo można polecić używanie wstążek lub pasków, uszytych z trwałego materjału, zapinanych na sprzączki i dające się skracać lub przy-

dłużać, jak podwiązki. Pasów takich widuje się dużo za granicą. Jednorazowy wydatek opłaca się, gdyż bielizna związana łatwo wyjmuje się z szafy i nie ulega zmięciu i rozsypaniu. Po praniu wystarczy uporządkować szafę w ten sposób, a nigdy nie będzie daremnego szukania. Bieliznę rzadko używaną dobrze ułożyć na wyższych i niższych półkach, żeby środkowe półki zawierały rzeczy często potrzebne.

W szafach na garderobę coraz rzadziej widzi się kołki. Drąg na wieszaki okazał się znacznie praktyczniejszym, gdyż suknie na wieszakach nie mną się, mimo że się je mocno zsuwa. Jasne suknie chroni się pokrowcami z lekkiej materji. Jeżeli w szafie znajduje się półka na kapelusze, dobrze jest, gdy się na niej mieści podstawki z drutu, na które wkłada się kapelusze. Suknie krótkie zostawiają dołem tyle miejsca, że można na dnie szafy umieścić pudełka z obuwiem. Znajdzie się tam także miejsce na parasolkę. Na drzwiach można wewnątrz przymocować tasiemkę na paski, niektóre kołnierzyki, krawatki. Kilka wśrubowanych haczków służy do powieszenia torebek.

Jeżeli każda rzecz ma swoje stałe miejsce, na które się ją składa zaraz po użyciu, ustanie wieczne szukanie i chaos. Małe zmiany, które byłyby potrzebne do zaprowadzenia nowego porządku, i początkowy przymus do utrzymywania go opłaca się stokrotnie. Proszę tylko spróbować!

Zina Kulczycka.

KĄCIK OBSERWATORA

O POCAŁUNKU SŁÓW PARĘ

Oczywiście, o oficjalnych mam zamiar mówić. Bo o „tamtych“ decyduje chwila — temperament — poryw uczucia — wobec czego nie mogą podlegać pewnym prawom i nie nadają się do dyskusji.

Zacznijmy od dzieci.

Całowanie dzieci i zmuszanie ich do całowania rąk starszym znajomym jest zwyczajem wyjątkowo niemądrym, niekulturalnym, a już nadewszystko bardzo niehigjenicznym. Czegoś również szkodliwego a niczem nieuzasadnionego nie spotykamy nawet u najniżej stojących ludów. U nas hołdują mu sfery średnie, małomieszczańskie i najniższe warstwy.

Gdyby rodzice i wychowawcy zadali sobie trud obserwowania dzieci całowanych wprost automatycznie przy lada okazji i zniewalanych do całowania — rozjaśniłoby im się w głowie. Czują one instynktowną niechęć do tego ceremonjału towarzyskiego a ich samoobronne gesty i mimika w krytycznych chwilach stwarzają nader komiczne sytuacje. Bronią się, na swój sposób i jak umieją, przed przykrością obojętnych, przygodnych pocałunków, przed zetknięciem się z zarazkami, przenoszonemi przez niezbyt czyste usta i ręce.

Odważę się zaryzykować jeszcze jeden zarzut. Takie „chroniczne“ całowanie rąk wszystkim na lewo i prawo od najwcześniejszych lat dziecięcych — wychowuje do służalczości, do zatraty poczucia godności osobistej.

Najpiękniejsze powitanie dziecka — to wesoły uśmiech i dobrowolne, niewymuszone podanie rączki.

Pocałunki znów, wymieniane pomiędzy kobietami przy powitaniu i pożegnaniu, nie są wcale oznaką serdecznych stosunków. Jest to najczęściej czysto zewnętrzny gest, nie mający nic wspólnego z uczuciem, życzliwością lub przywiązaniem. Całują się w ten sposób niejednokrotnie źle o sobie mówiące kobiety — rywalizujące — obojętne sobie nawzajem. Nawet i te, które się nie szanują, darzą się pocałunkami.

Do jakiej zatem roli schodzi w tych warunkach pocałunek, który powinien być symbolem serdeczniejszego zbliżenia się, oznaką przywiązania, szacunku, miłości.

W stosunkach towarzyskich powinien kobietom wystarczyć uścisk dłoni, którym można przecież dużo powiedzieć i zaakcentować niejedno — radość lub obojętność, chłód lub uczucie, lekceważenie lub szacunek.

Pocałunek, zbanalizowany przez codzienne, bezmyślne stosowanie, zatraca swą istotną wartość, niczego nie wyraża, nie sprawia żadnej przyjemności. Natomiast częstokroć wprawia w zakłopotanie. Wyobraźmy sobie np. chwilę przyjęć i zejście się kilkunastu kobiet równocześnie. Czyż podobna, ażeby pani domu całowała je wszystkie — i żeby one między sobą również wszystkie wymieniały pocałunki? Witać zaś pocałunkiem jedne a drugich nie — to tyle, co robić pewne różnice, a to w roli pani domu jest niedopuszczalne.

Więc może zupełnie wyeliminować pocałunki między kobietami? Nie — gdyż byłaby to druga ostateczność — lecz kierować się w tym względzie istotną potrzebą serca, nastrojem chwili i nie robić szablonu z tego odruchu uczucia.

Jest jeszcze jeden rodzaj pocałunków bez treści.

Tym razem grzeszą mężczyźni, szafując niemi, jako aktem towarzyskiej — rzekomo — uprzejmości. Niektórzy z nich całują w rękę każdą kobietę, młodą czy starszą, mężatkę czy pannę, uprawiając ten kłopotliwy zwyczaj wszędzie i przy każdej sposobności. Wszystko im jedno kogo — wszystko jedno czy w domu prywatnym, czy na ulicy [!], w sklepie, w teatrze i t. p.

Mężczyzna myślący i krytyczny zdaje sobie dobrze sprawę z tego, że np. ucałowanie ręki pani domu na powitanie i pożegnanie nie obowiązuje go do tego samego gestu wobec wszystkich, obecnych w towarzystwie, pań. Wie on również, że jedynie w jakimś wyjątkowym przypadku może to uczynić na ulicy lub w lokalu publicznym.

Pocałunek w rękę, to akt szacunku, wdzięczności, albo uczuć przyjaznych. A nie wiem, czy mężczyzna, całujący każdą swoją znajomą w rękę, może twierdzić, że wszystkie bez wyjątku zasługują na któreś z tych uczuć. Gdyby jednak nawet tak było, to niekoniecznie pocałunkiem musi się je zaznaczać, zwłaszcza, że nałogowe nadużywanie tego gestu uczyniło zeń coś w rodzaju zdawkowej monety towarzyskiej.

Na ten ostatni zarzut mógłby mi ktoś odpowiedzieć, że wobec rozmaitości odcieni pocałunków w rękę nie może być mowy o szablonie. Ale nie o tę rozmaitość chodzi mi w powyższych roztrząsaniach — jakkolwiek jest ona również interesującą kwestją — lecz o stwierdzenie faktu, że całowania w rękę jest naogół za dużo. A wobec tego, że nie jest to ani dowodem jakiejś specjalnej uprzejmości, ani oznaką dobrego wychowania, że jest czemś czysto zewnętrznem, bez głębszego znaczenia — powinno zostać ukrócone. Kobiety same mogą w tem wiele pomóc, wpływając odpowiednio na mężczyzn w rodzinie. Ale i o tem pamiętać powinny, że usunięcie ręki z przed ust obcego mężczyzny, schylonego do pocałunku, byłoby nietaktem i wprost nieprzyzwoitością towarzyską.

Niczego nie powinien człowiek robić bezmyślnie, każdej najdrobniejszej nawet czynności nadawać cechę jej wartości istotnej, a we wszystkiem doszukiwać się treści, nie bacząc na pozory.

O DROBIU

(Ciąg dalszy)

„Wer arm werden will und weiss nicht, wie:
Der halte sich viel Federvieh“.

To przysłowie niemieckie powinno być przestrogą dla każdego, kto bez odpowiedniego kapitału, fachowego uzdolnienia i stosownego umieszczenia dla drobiu zabiera się do chowu tegoż na większą skalę. Za to w małym zakresie i przy sprzyjających warunkach może chów taki być źródłem prawdziwego pożytku i dobrego dochodu.

Sam nawóz z kur i gołębi przewyższa dobrocią wszelkie sztuczne nawozy.

Najlepiej dać mu zamarznąć w zimie, w tym stanie potłuc go na proszek i cieniutko na grządkach nasypać.

Nawóz, zebrany w 1 roku od 40-tu kur, wystarcza do użyźnienia całego morga ziemi.

Nawóz gołębi (od 50-ciu szt.) z jednego roku zebrany wystarcza na pół morga ogrodu, taki jest silny.

Pierwszym warunkiem dobrego utrzymania kur jest danie im sposobności do swobodnego tarzania się w piasku. Brukowane podwórze nie jest dogodnem miejscem dla chowu kur. Delikatniejsze rasy przeziębiają się w chłodnej porze od zimna kamieni, a brak możności parpania w ziemi dla znajdowania robaków i spożywania ich z przymieszką piasku wpływa ujemnie na ich trawienie.

Jeśli kury mogą sobie chodzić po łące, paść się na trawie, wyszukiwać pędraki i muszki, są wtedy najzdrowsze.

W małem gospodarstwie jest dla kur b. korzystnem, jeśli umieszczone są w stajni krów lub koni. Ciepło tych zwierząt domowych zapobiega przeziębieniu kur w zimie. Zgadzają się razem bardzo dobrze, bo konie i krowy nie bronią kurom brać udziału w ich pożywieniu, — nie tak, jak wieprze, które bronią kurom jadła, a nawet zagryźć je potrafią w złości. (C. d. n.) *Marja Wiśniewska*

PARĘ SŁÓW O ODŻYWCZEJ WARTOŚCI SAŁATY

Sole, znajdujące się w sałacie, działają dodatnio na krew, powodują lepszą przemianę materji, zaś olejki eteryczne drażnią smak i wytwarzają soki żołądkowe.

Już w czasach przedhistorycznych sałaty były znane.

Aby sałata była strawną, ważne są jej korzenne przyprawy. Bardzo korzystnem, przy sałatowych przeróżnych sosach, jest dodanie zimnego rosołu albo paru kropli maggi. Oliwa jest składnikiem najważniejszym.

B. dokładne spłókanie sałaty i osączenie jej w serwecie jest niezbędnem, jeśli się pomyśli, ile to owadów różnych po niej spacerowało, znajdując między liśćmi również wygodne legowisko...

Oczyszczając krew, zapobiega nieraz stałe używanie świeżej sałaty rozmaitym chorobom, zwłaszcza przy złych, ostrych sokach żołądkowych.

U dra Lahmana w Dreźnie i dr. Tarnawskiego w Kosowie sałata stanowi samoistną potrawę, której pacjenci spożywają nieraz całe półmiski.

Oprócz sałaty liściastej przyrządza się także jarzynowe, mięsne, jajeczne, owocowe — z dodaniem serów, ryb, etc. Rozmaitość, uzyskaną tym sposobem przy *menu* obiadowem, można połączyć jeszcze z oszczędnem zużytkowaniem resztek. (Zobacz przepisy w „Dobrej Gospodyni“.) *Marja Wiśniewska*

AFORYZMY O KSIĄZCE

Pieniądze, wydane na bibljoteki, stanowią raczej nakład, niż wydatek. Nie dlatego wszakże popieramy bibljoteki publiczne, ponieważ chronią nasze kieszenie, lecz — że tak dzielnie przyczyniają się do ulżenia i rozjaśnienia doli naszych współobywateli. W życiu ludzi biednych tak mało jest jasnych promieni.

John Lubbock

Oto mistrze, którzy uczą nas bez rózgi i dyscypliny, bez gniewu i łajania, nie żądając wzamian ani pieniędzy, ani strojów. Gdy zbliżysz się do nich, nie śpią; gdy ich badasz i pytasz, niczego przed tobą nie ukrywają; gdy ich w błąd wprowadzasz, nie zrzędzą; gdy zdradzisz swe nieuctwo — nie wyśmiewają cię. Bibljoteka uczonych dzieł jest cenniejszą, niż wszystkie bogactwa, a wartość jej nie da się porównać z wartością żadnej z tych rzeczy, których pragniemy. Ktobądź zatem wyznaje się gorliwym miłośnikiem prawdy, szczęścia, wiedzy, mądrości a nawet wiary — musi się stać miłośnikiem książek.

Ryszard de Burry, biskup z Durham

(Wyjątek z „Pochwały książek“ napisanej przeszło 500 lat temu)

Opowiadają o królu Alfredzie, że, będąc dzieckiem, upodobał sobie pewną książkę, a matka obiecała mu, że ją dostanie, gdy ją będzie umiał przeczytać. Nasza dziatwa nauczyła się czytać, czyż nie nabyła przez to prawa do książek?

John Lubbock

Nigdy nie należy przerywać nauki — a bibljoteka jest szkołą dorosłego. *John Lubbock*

Słuszniej byłoby dziękować Bogu przed rozpoczęciem nowej książki, niż przed obiadem. *Lamb*



Sprostowanie. W num. 12-tym „Świata Kobiecego“, w rozdziale „Dobra Gospodyni“, ust. o soku poziomk. i malin. umieszczony błędnie po galar. porzeczk., należy czytać po soku z truskawek, gdyż przyrządza się go jak i marmoladę zupełn e identycznie.

Sosy do sałaty świeżej lub jarzynowej. Sos zwykły: z oliwy, octu, z pieprzem, solą, z dodaniem cukru. Gotowane żółtka można rozetrzeć z oliwą, a posiekanem białkiem przyprawioną już sałatę posypać.

Zamiast oliwy można dać suto śmietany młodej, kwaśnej, gęstej.

Sałata ze słoniną. Przyrządzoną (bez śmietany) sałatę oblewa się już przy stole gorącą, usmażoną na rumiano, świeżą słoninką.

Najwykwintniejszym sosem do sałat wszelkiego rodzaju jest majonez.

Kto nie znosi octu, kwasi sałatę cytryną lub kwaskiem cytrynowym, rozpuszczonym w wodzie cukrem do smaku.

Sałata szparagowa. Ugotowane na słonym ukropie szparagi przelać zimną wodą i odcedzić. Do gęstego sosu majonezowego wmieszać siekanej zielonej pietruszki, szparagi i niech $^1/_2$ godziny w spokoju „naciągną“. Ułożyć w szklanej salaterce, wydać do cielęciny.

Sałata z kalafjorów. Pięknie ugotowane, odcedzone, zimne, podzielić na małe różyczki, wmieszać do majonezu z paru kroplami maggi, ubrać listkami zielonej sałaty.

Sałata z pomidorów. Duże, dojrzałe, obrane ze skórki, ostrym nożem pokrajane w plasterki (z odrzuceniem pestek), przyprawić pieprzem, solą, octem, cytryną i odrobiną oliwy, na jaką godzinę przed podaniem.

Sałata z marchwi i cebuli. Szatkowaną marchew i cebulę oddzielnie na miękko ugotować, przyprawić sosem z oliwy, octu, pieprzu, soli, z trochą siekanej zielonej pietruszki.

Sałata z kur. Resztki pieczonej kury pokrajać w kosteczkę. Tak samo duży seler, obgotowany miękko, zimny. 4 twarde żółtka rozetrzeć z filiżanką oliwy, łyżką musztardy, łyżeczką soli, pieprzu. Zmieszać z 3-ma surowemi żółtkami, ubitemi z $^1/_2$ szklanką octu i łyżką soku cytrynowego. Oblać mięso, ładnie w salaterce ułożone, ubrać pietruszką zieloną i na kwadrans postawić na lodzie.

Sałata serzana. Pół funta ementalera, pokrajanego w cienkie plasterki, zmieszać z tartą cebulą, oliwą, octem, solą, pieprzem i paru kroplami maggi. Zaraz podać.

Sałata z jabłek, z cebulą. Funt winnych jabłek obranych, szatkowanych, zmieszać z szatkowaną, białą, dużą cebulą, oliwą, octem, cytrynowym sokiem, szczyptą cukru, na 2 godz. przed podaniem.

Sałata z gogodzów. Świeże konserwowane (w zimie) w wodzie gogodze, odcedzić, wymieszać obficie z cukrem, na $^1/_2$ godz. przed podaniem. Ułożyć ładnie na salaterce. Smaczne do pieczystego.

Sałata mieszana. „Serduszka“ z sałaty zielonej, rzodkiewka, cebulka, jabłka, kwaszone ogórki, kartofle, kalafjory gotowane i młoda zielona fasolka — wszystko stosownie pokrajane, przyprawione rosołem zimnym, octem, oliwą, solą, pieprzem.

Czereśnie smażone z gałązkami (legumina). W cieście drożdżowem, lub proszkowem, jakie się przyrządza do smażenia jabłek (w talarkach), z 2—3-ch jaj, mąki, mleka i cukru, maczać po 4—5 czereśni, ujętych razem z gałązkami. Smażyć na obie strony, rumiano, pudrować cukrem, ułożyć czubato na półmisku, co bardzo ładnie wygląda. Aby szypułki nie zamaczały się w cieście, można na rynce, czy patelni położyć rączkę od kołotewki, zawieszając na niej czereśnie, przez co smaży się tylko owoc, a szypułki pozostają w górze. Gdy ciasto stężeje, rączkę można wysunąć.

Zupa z czereśni i wiśni. Rozgotowane, przefasowane, zagotować, zasypać garścią sago, osłodzić. Gdy sago szkliste, zupa ma dosyć.

Zupa agrestowa. Agrest w wodzie rozgotować, przefasować przez druszlak — osłodzić, znowu zagotować, zaprawić śmietaną, z trochą (łyżką) mąki. Wydać z biszkoptami lub grzankami z bułki.

Bronzy czyści się najlepiej wywarem z białej fasoli. — Garść fasoli na litr miękkiej wody czyścić kawałkiem flaneli lub miękką szczoteczką i wytrzeć następnie do sucha płótnem. *

Podłogi kamienne czyści się najlepiej piaskiem przy użyciu dużej ilości wody. Jeśli po opłókaniu pozostaje jeszcze na podłodze piasek, po wyschnięciu wymieść go włosienną szczotką. *

Kit do cieknących naczyń. Równe części wypalonego wapna, gliny i tlenku żelaza (czerwień berlińska) w stanie drobno zmielonym doskonale zmieszać i przechowywać w zamkniętych naczyniach. — Do zaklejenia pęknięć wziąć odpowiednią ilość, wymieszać z wodą i nakleić na nieszczelne miejsca. *

Meble wyścielane o ile jesteśmy zmuszeni trzepać w pokoju, a nie chcemy, by cały kurz osiadł zpowrotem na ścianach i firankach, należy trzepać przez wilgotny ręcznik. *

Złote ramy odświeża się bardzo pięknie pianą z białek ze solą. — Na dwa białka łyżeczka soli. Przedtem usunąć plamy po muchach kawałkiem flaneli umaczanej w spirytusie. *

Marmur pęknięty kituje się doskonale mieszaniną gipsu i kleju. — Trzeba szybko kleić i części złamane spoić, bo kit ten bardzo szybko schnie. *

Na mahoniowych meblach plamy usuwa się naftą i kawałkiem flaneli. — Z mebli orzechowych letnią wodą z rozpuszczonym małym kawałkiem mydła. *

Plamy z owoców na materjałach usuwa się w ten sposób, że zwilżone plamy poddaje się dymowi siarkowemu, zwilżając ciągle na nowo. — Z obrusów najlepiej wywabia się bieleniem. — Jeśli to nie pomoże, nieco rozcieńczonego chlorku na plamy i polewając często, uważać, by bielizna na słońcu nie wyschła. *

Pożółkłe kapelusze słomiane stają się zpowrotem białe i świeże, jeśli poleżą parę godzin w następującej kąpieli: *Natron* 5 gram., kwas solny 5 gr. i 2 litry wody. — Do tego płynu wkłada się kapelusz, wyszczotkowawszy ciepłym roztworem sody i dobrze wypłókawszy. — Gdy osiągną pożądaną białość, znowu płócze się go w wodzie, osusza czystym ręcznikiem i ostrożnie się prasuje, nałożywszy bibułkę. *

Nafta płonie jaśniejszem światłem, jeśli przechowuje się ją w naczyniach nieprzezroczystych, gdyż promienie słońca ujemnie wpływają na jej wartość, dlatego lepiej, jeżeli i zbiornik lampy nie jest z białego szkła. *

Podszewkę jedwabną w płaszczach i t. d., jeśli brudna i nieporządnie wyglądająca, czyści się: napierw pociągając w jedną stronę ciepłą gąbką umaczaną w benzynie (uważać! zdaleka od ognia!), a potem przeciąga się ją drugą czystą gąbką zanurzoną w ogrzanym spirytusie. — Spirytus ogrzewa się we flaszce lub słoju wstawionym do gorącej wody. — Do oczyszczania wstążek, jedwabi i t. p. nigdy nie używać spirytusu denaturowanego.

*

Alpakę i inne twarde, czysto wełniane materjały bardzo praktyczne na codzienny użytek, czyści się doskonale czystą szczotką, gorącą wodą i mydłem.

*

Białe lisy i inne białe futra, noszone także w lecie, czyści się, pocierając je ogrzanemi otrębami pszenicznemi.

*

Jedwabne hafty czyści się na sucho ogrzaną mąką pszenną, ale ostrożnie. — Mąki, która przyklei się, nie należy zeszczotkowywać po prawej stronie, lecz materję po lewej stronie trzcinką dobrze wytrzepać.

Suknie z surowego jedwabiu, jeśli nie chce się ich jeszcze w całości prać, można odświeżyć, wycierając poplamione miejsca papką z benzyny i mąki kartoflanej.

*

Gęste grzebienie czyści się najlepiej starą szczoteczką do zębów umaczaną w rozpuszczonym amonjaku.

Szyby i lustra czyszcząc należy dodawać do wody trochę spirytusu.

Galaretka malinowa. Zagotować 25 dkg cukru z 3/4 l wody, na ten kipiący syrop wrzucić 1/2 l świeżych malin. Gdy zakipią, wstrząsnąć kilka razy naczyniem i przecedzić przez sito włosiane lub serwetkę. Namoczyć 12 listków żelatyny (8 białej i 4 różowej) w zimnej wodzie przez 1/2 godziny, wycisnąć następnie z wody i wrzucić do przecedzonego z malin soku, mieszając często, by żelatyna nie przylgnęła do dna, lecz rozpuściła się z płynem, wcisnąć sok z 1 cytryny i mięszając na kuchni zagotować. Po zagotowaniu przecedzić powtórnie, ostudzić w lodzie i wlać do ładnej formy, ustawić w lodzie, nakryć i przyłożyć lodem. Wybrać 1/4 l pięknych malin i gdy galaretka w lodzie ścinać się zacznie, powtykać delikatnie maliny. Po 1 1/2 godz. galaretka powinna całkiem stanąć, wtedy wyjąć z lody, umaczać formę w letniej wodzie, obetrzeć, wyrzucić galaretkę na półmisek, obłożyć biszkoptami lub marengami.

Wiśnie w occie (ostry kompot). Piękne, dojrzałe czarne wiśnie obrać z korzonków, włożyć w wazę lub słój kamienny, polać przegotowanym i przestudzonym octem, biorąc na garniec wisien 80 dkg cukru i ltr octu. Na drugi dzień odlać ten ocet, przegotować i zalać ciepłym. Na trzeci dzień powtórzyć przegotowanie, wsypać kilkanaście goździków i gorącym polać wiśnie. Czwartego dnia można przelać do szklanego słoja, obwiązać pęcherzem lub papierem pergaminowym i przechować w suchej piwnicy lub spiżarni. Ocet nie potrzebuje być najmocniejszy, lecz dobry.

Groszek zielony, suszony z cukrem. Młody groch zielony wyłuskać starannie i póki zupełnie świeży, sypać w rondel, przesypując każdą warstwę lekko cukrem, ilością zależną od woli przyrządzającego. Gdy rondel (pobielany!) napełni się do 3/4, postawić na blasze na wolnym ogniu i dusić pod nakryciem, póki się sok z groszku i cukru nie wydusi, potrząsając ciągle rondlem. Wtedy wysypać go na półmiski do przestudzenia a następnie niewielką zupełnie warstwą sypiąc na czyste blachy, wstawić na noc do zupełnie wolnego pieca.

Grzyby świeże w zimie. Świeże, jędrne, średniej wielkości grzyby pokrajać bez płókania w paski i posolić dobrze (stosunek soli do grzybków 1 : 10). Zostawić je tak na misce posolone na 24 godzin, potem wylać na sito, by sos z soli spłynął, nic nie wyciskając włożyć w słoiki, nie upychając wcale i zawiązane papierem pergam. lub pęcherzem gotować bardzo uważnie. Wstawiwszy słoje w głęboki rondel z zimną wodą gotować od zagotowania wody pół godziny. Zachować w chłodnem miejscu. W zimie odwiązawszy słoik, zdjąć stwardniałą lub nawet spleśniałą warstwę z wierzchu, wypłukać z soli albo wymoczyć i dusić w maśle i śmietanie jak świeże.

Suflet malinowy (podkład migdałowy). Pół litra swieżych malin z dodatkiem porzeczek przefasować przez sito, dać tę marmeladę do emaljowanej czystej rynki, dosypać trzydzieści deka cukru i gotować na kuchni, mieszając często. — Tymczasem zrobić blat w ten sposób: jedną szklankę tartych migdałów (obranych lub nieobranych, a tylko wytartych w ściereczce) dać do makutry, dosypać piętnaście deka cukru, cztery żółtka, zapach waniljowy i trzy łyżki masła, ugniatać ręką, dosypując ćwierć litra pszennej mąki. Gdy ciasto należycie wyrobione, dać go na dno tortownicy, rozpłaszczyć równo, podziurawić nożem i odpiec w piecu lub bratrurze. — Ubić pianę z siedmiu lub ośmiu białek i zaparzyć przygotowaną marmeladę, wyłożyć na blat w piramidę, ukarbować nożem, kilka migdałów uszatkować, obsypać nimi po wierzchu, opudrować cukrem, dać na kilka minut do bratrury, aby z wierzchu przysechł i wydać do stołu.

Lep na muchy. 12 części kalafonji, 4 części gotowanej terpentyny, 4 części oleju lnianego, 2 części oleju rzepakowego, łyżka miodu.

Do rozpuszczonej dobrze na gorącej blasze kalafonji z olejem i miodem (w jakiejś starej ryneczce, tylko do tego przeznaczonej) wmieszać na skraju kuchni ostrożnie terpentynę, żeby się nie zajęła.— Mieć przygotowany sztywny papier pakunkowy, gładki, pokrajany na kawałki i ciepłym lepem, zaraz na kraju kuchni, smarować lep pędzlem, żeby nie zastygł.

Pluskwy niszczy kipiący roztwór wody z ałunem, którym posmarować fugi sprzętów. Dodanie ałunu do farby, przed malowaniem kuchni, zabezpiecza ją od much.

Pchły u psów wyginą po umyciu i natarciu ich skóry wodą aloesową (1 część, t. j. litr ciepłej wody i 12 gramów tynktury aloesowej). Wyczesać, nim całkiem obeschną.

Inny lep na muchy. 4 części kalafonji, 1 część oleju lnianego, 1 część melassy. — Rozpuścić na blasze, smarować papiery.

Galareta morelowa (nowa). Dojrzałe morele przepołowić, wyjąć pestki, obrać skórkę, obsypać równą ilością cukru i zostawić przez dobę. Potem gotować powoli; potem wlać na rzadkie płótno: — niech sok ścieka przez noc. Nazajutrz usmażyć i wyszumować galaretę, gorącą zlać w małe słoiki. Miąższ, skórkę i szumowiny z galarety wysmażyć na marmoladę. (Morele wydają dużo szumowin.)

Porzeczki w pianie, niby kandysowane, na deser. Ładne, duże gronka maczać i przewracać w pianie z białek, bitej z cukrem, następnie w grubym cukrze — suszyć na papierze, w piecu — po bułkach lub w lekkiej otwartej rurze i bardzo pilnować.

Przeróżne zupy można w półgodzinie przyrządzić (tanio) z pozostałych z dnia poprzedniego jarzyn, np. soczewicy, marchwi, grochu, szparagów itd.

Zagotowuje się takie resztki na smaku z jarzyn lub na wodzie z kostką maggi; — zaprawa ze śmietany, żółtka lub zaprażki czyni taką łatwą zupę pożywniejszą. Smażone grzanki z bułki podaje się osobno.

Pieczarki marynowane. Oczyszczone ze skórki i korzonków pieczarki obmyć, włożyć do wrzącej, posolonej wody, by parę razy zakipiały. Gdy na druszlaku obeschną z wody, dać do słoi, przysypując warstwy pieprzem, gwoździkami, bobkowym liściem. Zalać mocnym przegotowanym, zimnym octem, a z wierzchu rozpuszczonym łojem wołowym lub baranim, który po zastygnięciu nie dopuszcza przystępu powietrza.

Suflet zimny z cytryną. 3 żółtka ubić do białości z szklanką cukru i z sokiem całej, dużej cytryny, — bić dalej, już na gorącej blasze, — gdy gęstnieje, odstawić na stół, wmieszać do przestudzonej nieco masy pianę sztywną z 3-ch białek, ponalewać do filiżaneczek od czarnej kawy — wynieść na zimno. Podawać z biszkoptami.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Redakcja udziela porad w sprawach kosmetycznych i gospodarskich i w kwestjach sztuki indywidualnego ubierania się.

Na koszta odpowiedzi prosimy nadsyłać 20 gr. W miarę możności prosimy podawać swój adres.

Anna B. Politurę do mebli można sporządzić: z trzech łyżek terpentyny, trzech łyżek dobrej oliwy jadalnej, soku z 1 cytryny i 1/16 l wody deszczowej. Przed użyciem dobrze potrząsnąć i nacierać tem meble.

Gosposi na wakacjach. Jeśli chce się mieć w lecie mleko słodkie przez 24 godzin, należy je zgotować natychmiast po otrzymaniu, a potem raz jeszcze po 12 godzinach.

Strapiona. Można użyć ostrożnie depilatora podług następującej recepty:

Siarczku strontu	8 gr
Tlenku cynkowego	
Skrobi (mączki)	po 12 „

rozrobić na pastę z wodą.

Stefanja K. Miała Pani rację, zakład wygrany, bo dzieciom do lat 12 potrzeba istotnie 11 godzin snu.

Czytelniczka na urlopie. Przeciwko ukłóciom os, komarów i poparzeniu pokrzywą najlepsze natarcie roztworem mentolu (niewiele) ze spirytusem.

Elżbieta Re... Bardzo to słuszna uwaga, że obecne leciutkie, delikatnie tkane materyjki na lekkie suknie i kasaki trudne są do odpra-

sowania. Zwłaszcza, gdy tak, jak się Pani żali, zmieniają kolor pod gorącem żelazkiem. Prasowanie tych powiewnych rzeczy można z doskonałym skutkiem zastąpić parą. Zmięty kawałek trzymać jakiś czas nad parą wodną a potem zawiesić na naramienniku do wyschnięcia, jednak nie w szafie lecz w pokoju lub na balkonie. Dlatego zaznaczam, że ma to być para wodna, gdyż zdarzyło się raz, że robiono to nad garnkiem z rosołem... Najlepiej dokonywać tego nad samowarem, albo nad kociołkiem na herbatę — ściślej zaś mówiąc, nad jego szyjką, z której wydobywa się gorąca para.

Można również kawałeczkiem czystej szmatki białej — strzec się kolorowych — umaczanym w gorącej wodzie, lekko zwilżać wszystkie zagięcia i fałdki — a z suszeniem postąpić, jak powyżej.

Zofja z Wilna. Obecnie wymaga moda toalet *assorties*. Całość musi w kolorze harmonizować się i uzupełniać, co przecież nie wyłącza kolorów żywych i wesołych. O krzyczących nie wspominam, jako o faworyzowanych jedynie przez pewne jednostki pragnące wszędzie zwracać uwagę na siebie. W dążeniach do harmonijnego zespołu kolorów poszła moda tak daleko, że skórka pantofelków bywa często w kolorze sukni lub jej przybrania.

Niektóre magazyny paryskie powróciły do tonów pastelowych. Wyróżniany jest kolor niebieski w wszystkich odcieniach a kolor beige idzie z nim w zawody o lepsze. Widuje się też toalety całe w jednym kolorze, np. kapelusz, suknia, płaszczyk, rękawiczki, pantofelki, pończoszki i szarfa beige — urozmaicone nieznacznie paskiem lub wstążką w kolorze lawendowym.

A. Niewiadomska. Wysokie kołnierze noszone są przy płaszczach i pelerynach — tak jednak skrojone, ażeby je i wykładać można. Pozatem widuje się je tylko przy swealerach, albo utworzone przez owinięcie szyi szalem.

Wszelkie próby przywrócenia ich sukniom w dawnej formie zawodzą, a to z dwóch powodów: przedewszystkiem ogólnie nie są „do twarzy" — a ta znikoma garstka, dla której byłyby korzystne, musi ustąpić, przegłosowana. Następnie są bezwarunkowo niewygodne i niehigjeniczne.

Torunianka. Nad francuskiem morzem dominuje, na plaży, ponad wszystkiemi kostjumami: spódniczka plisowana w niezbyt drobne fałdy lub kontrafałdy i jumper. Na to w razie deszczu płaszcz.

Suknie na wieczór bardzo strojne z szczególnem upodobaniem do zakrawywania ich dołem w pasy, zęby lub okrągło; czasem też niby płatki kwiatów. Nie można też twierdzić, ażeby jakiś fason wybijał się na pierwszy plan. *Robe droite*, czyli wąska suknia koszulkowa z lamy, z jedwabiu zahaftowanego, z *velours chiffon*, z krep jedwabnych piórami i koronkami przybranych — sąsiaduje zgodnie z sukienką stylową z tiulu, naiwnie ozdobioną girlandkami z drobniuchnych kwiatów lub z wstążki.

Modnisia. Pióra strusie są artykułem bardzo modnym. Farbuje się je na wszystkie kolory i umieszcza na kapeluszu lub sukni. To słuszna uwaga, że cierpi trochę młodzieńczy wygląd właścicielki kapelusza suto przybranego strusiemi piórami; ale zato ratuje tę zagrożoną cechę — krótka sukienka. Poza tem, prócz dużych piór, są i pompony strusie, noszone nawet przez dziewczynki, a także bujne i powiewne fantazje, kształtem przypominające olbrzymie chryzantemy. Te nie postarzają. Umieszczone z boku kapelusza nie mają nic równego w przybraniu i wdzięku.

Halinka ze Swoszowic pomoże umiejętnie stosowany masaż, polecamy książkę Dra Władysława Hojnackiego „Higjena Kobiety i Kosmetyka", gdzie przebieg masażu jest dokładnie opisany; drugi warunek używanie dużo ruchu i sportu, przedewszystkiem wiosłowanie nadzwyczajnie rozwija mięśnie piersiowe.

Czarnula J. Obecnie jest tendencja noszenia także i dłuższych sukien, szpecący więc defekt nie przedstawia się tak groźnie, — który częściowo usunąć można przez noszenie specjalnych opasek, częściowo przez umiejętnie zastosowany masaż.

Czytelniczka nr. 13. Proszę czytać odpowiedź dla Halinki ze Swoszowic.

„Stała Czytelniczka". Wszelkie porady kosmetyczne zależne są od indywidualnych danych. I tak musimy wiedzieć, czy łydki są stale za grube, za silnie rozwinięte, czy też złączone z fizjologicznym stanem, o którym Pani wspomina. Jeśli to ostatnie ma miejsce, wówczas należy zasięgnąć porady lekarza, chodzi tu bowiem o obrzmienie. Jeżeli zaś są takiemi z natury — można zaradzić umiejętnym masażem i gimnastyką. Masażu nie powinno się wykonywać samej. Ćwiczenia gimnastyczne polegają na unoszeniu się na palcach i opuszczaniu. Jedno i drugie najpowolniej, jak tylko się da — i oczywiście ćwiczyć bez bucików. Wykonać 10—12 razy na jeden raz — jeśli męczy, to mniej. Powtórzyć kilkakrotnie w ciągu dnia. Pozatem chód i lekki bieg — na palcach również bez bucików. Zawsze zaczynać chodem a potem zmienić na bieg. Ćwiczenia te działają odtłuszczająco dlatego, że na skutek wzmożonego krążenia krwi wyrabiają mięśnie, przez co znów znika zbyteczny tłuszcz. Główną zasadą wszystkich ćwiczeń fizycznych jest przestrzeganie nieprzemęczania się i systematyczność. Z chwilą, w której Pani zauważy najlżejsze bodaj zmęczenie — należy natychmiast przerwać.

Naturalne rumieńce można osiągnąć jedynie przez umiejętny masaż. Innych środków niema — a od sztucznych gorąco odradzamy.

Co zaś do wybielania całego ciała, to musimy Pani zwrócić na to uwagę, że wrodzonej karnacji nie można zmienić na stałe. Wszystkie chemiczne środki pomagają chwilowo a potem sprowadzają jeszcze większe ściemnienie. Pozatem, takie poprawianie natury psuje zawsze harmonję całości i robi wrażenie czegoś nienaturalnego, a tego przecież należy unikać.

Mnóstwo jest fasonów kołnierzy, które będą dłuższy czas modne. Proszę zwrócić uwagę na pierwszą stronicę nr 10 „Świata Kobiecego". Ponad „Listami o modzie" ma Pani liczne fasony. Jednak w uwzględnieniu chwilowych potrzeb Pani zalecamy szerokie przody wstawiane, z drobno plisowanej, lekkiej materyjki a sięgające dużo niżej poza naturalny pas. Pozatem bardzo korzystne będą modele 206 w nr 10 „Świata Kobiecego" (wogóle szalowe), następnie 6483 w nr 11, t. j. wraz z przodem plisowanym. Dobrze robi miękki szal owinięty dokoła szyi, którego końce można dowolnie opuszczać.

Płaszcz powinien być luźny i bezwarunkowo nisko z boku zapięty — nigdy na przodzie. Kołnierz długi, szalowy. To wyszczupla a nie postarza. Zestawiamy Pani do wyboru modele 6207 w nr 5 — 109 w nr 6 — 276 w nr 12. Pozatem bardzo młodzieńczo wygląda tak modna dziś „cape" — i jeśli Pani nie jest bardzo niskiego wzrostu, to doradzalibyśmy ten rodzaj okrycia. W nr 12 są dwa urocze modele a to 274 i 266. Podane w opisach materjały nie obowiązują — gdyż to zależne jest od celowości okrycia. Może Pani zatem wybierać dowolnie rodzaj materji.

Wojnowska Michalina. We Lwowie są istotnie takie szkoły kraju, o jakie Pani chodzi. Polecić Pani możemy jako bardzo solidną firmę: „Wyższą szkołę kroju" Michaliny Kozłowskiej przy ul. Koralnickiej l. 1. Zanim Pani wybierze się na kurs, radzimy porozumieć się listownie z właścicielką firmy i powołać się na nasze polecenie.

TREŚĆ NUMERU 14-go:

Listy o Modzie (Paula Ł.). — Wystawa dekoracyjna w Paryżu (Aurelja Wyleżyńska). — Marokańska ballada (Tadeusz Michał Nittman). — Selma Lagerlöf (B. Baumgartenowa). — Małżeństwo w Chinach. — Pani domu a konwersacja (Efeb). — „Humpa-Humpa" (Z. P.). — Teatry: warszawski (Z. P.), krakowski (Zoel). — „Bez czego żyć nie można (Marja Corelli). — Ostatnia przeprowadzka (Aurelja Wyleżyńska). — Ploteczki z za kulis ekranu (Ir. K.). — Roboty ręczne. — Kilka słów o Jastarni (Ir. K.). — Przemysł hafciarski w Makowie Małopolskim (Ewa Antonowiczówna). — Kurs szycia. — Jumper szydełkowany z jedwabiu. — Porządek w szafach (Zina Kulczycka). — O pocałunku słów parę (Kącik obserwatora). — O drobiu. — Parę słów o odżywczej wartości sałaty (M. Wiśniewska). — Dobra gospodyni. — Odpowiedzi Redakcji. — Opis modeli. — Kroje. — Ogłoszenia.

OPIS MODELI:

302 Suknia z białego płótna przybrana kolorowym, skórzany pasek i długa krawatka.
303 Suknia z etaminy przybrana riuszkami i paskiem ze wstążki.
304 Suknia z eponge w kratę, przybranie białe.
305 Suknia z etaminy przybrana kolorową haftowaną bortą, spódniczka i żabot plisowane.
306 Suknia kombinowana z fularu w deseń i gładkiego.
307 Suknia z fularu w deseń przybrana gładkim ciemnym fularem.
308 Gładka suknia z materjału w kratkę, kołnierzyk i mankieciki białe.
309 Suknia z batystu przybrana riuszką, spódniczka plisowana.
310 Suknia z jedwabnego płótna przybrana kolorową haftowaną bortą.
311 Suknia z surowego jedwabiu w deseń, spód i przybranie z jedwabiu gładkiego.
312 Suknia wieczorowa z *crêpe marocain* z tuniką wydłużoną po bokach.
313 Suknia wieczorowa z biało-srebrnego brokatu przybrana marabu.
314 Suknia wieczorowa z czarnej *crêpe satin* przybrana szarą i białym futerkiem.
315 Suknia wieczorowa z białej *crêpe de Chine* przybrana haftem z czarnych dżetów.
316 Suknia wieczorowa z wytłaczanego aksamitu, spód i przybranie ze srebrnej lamy.
317 Suknia z haftowanego batystu z plisowanym spodem.
318 Suknia z jedwabnego płótna ozdobiona lekkim haftem i zakładkami.
319 Suknia z haftowanej etaminy przybrana riuszką, spódniczka gładka.
320 Suknia z muślinu ozdobiona mereżkami i haftem.
321 Suknia płócienna ozdobiona mereżkami.
322 Suknia z jedwabnego płótna ozdobiona haftem.
323 Suknia z białego płótna przybrana niebieskim i mereżkami.
324 Suknia z batystu ozdobiona mereżkami, zakładkami i haftem na przodzie.
325 Suknia płócienna przybrana guzikami i mereżkami.
326 Suknia z haftowanego batystu z falbaną w zęby.
327 Palto z jasnej wełny ozdobione maszynowym haftem.
328 Płaszcz z granatowego rypsu przybrany plisami z rypsu białego.
329 *Deux pièces z crêpe marocain.* Suknia i szeroki płaszczyk przybrany kolorową haftowaną bortą.
330 *Deux pièces* z lekkiej wełny. Spódniczka i przybranie żakietu z wełny w kratę, żakiet z wełny gładkiej.
331 *Deux pièces* z rypsu. Spódniczka i żakiet po bokach plisowane.
332 Kostjum do żałoby z lekkiej matowej wełny przybrany jedwabiem.
333 Kostjum do żałoby z rypsu wyszyty sutaszem.
334 Kostjum do żałoby z wełnianej *crêpe marocain* wyszyty sutaszem.
335 Kostjum do żałoby z lekkiego materjału przybrany krepą.
336 Kostjum do żałoby z rypsu przybrany maszynowym haftem, spódniczka plisowana.
337 Poranna suknia (szlafrok) z czarnego jedwabiu przybrana białym jedwabiem z czarnem wyszyciem.
338 Domowa suknia z białego płótna przybrana kolorowym i białemi guziczkami.
339 Domowa suknia z białego płótna przybrana kolorową bortą.
340 Domowa suknia z materjału *footte* w kratkę, przybranie białe.
341 Strojna poranna suknia z jedwabiu w deseń przybrana futerkiem.

KROJE:

KROJE POJEDYNCZE:

Ceny krojów: zwykłe miary od 1·20 do 2 zł. Wysyłka za zaliczką.

Miary: I. szczupła, II. normalna, III. tęższa, IV. tęga.

Kroje z żurnali „Bielizna“, „Dziecko“, „Varia“, „Star“, „Smart“, „Confection Moderne“, „London Styles“, i i. w cenie od 2—5 zł.

Kroje z „Świata Kobiecego-Rekordu“ dostarczamy odwrotnie. Kroje z innych żurnali w terminie dwutygodniowym.

WZORY ROBÓT RĘCZNYCH zawarte w „Świecie Kobiecym“ dostarcza się odwrotnie.

CENY WZORÓW ROBÓT RĘCZNYCH:

Obrusy, firanki, kapy i t. p. po 2 zł. Milieu, poduszki, makatk. po 1—2 zł. Motywy, tabletki i t. p. po 1·— zł. lub jak podano przy wzorze. Celem zaoszczędzenia bardzo znacznych kosztów zaliczki, prosimy należność przesyłać przy zamówieniu (można w liście w znaczkach pocztowych) wraz z kwotą 0·25 zł. na koszta przesyłki.

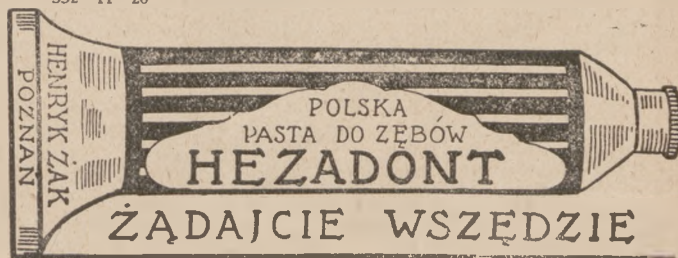
Zamówienia należy skierowywać do ADMINISTRACJI „ŚWIATA KOBIECEGO“ LWÓW, KSIĘGARNIĄ POLSKA (Na b. dzielnicę pruską P. T. K. K. „RUCH“, POZNAŃ, ul. Ratajczaka l. 36). Detaliczna sprzedaż we Lwowie w Księgarni Polskiej, ul. Akademicka 2a.



Gütermann's
jedwab do szycia



BECHSTEIN



HENRYK ŻAK POZNAŃ
POLSKA
PASTA DO ZĘBÓW
HEZADONT
ŻĄDAJCIE WSZĘDZIE

Wydawca: Bernard Połoniecki — Lwów. — Odpow. redaktor: A. W. Bednarski. — Adres Redakcji i Administracji: Lwów, ul. Chorążczyzna 27

Skład Redakcji: **Janina Łada-Walicka, Wanda Tomaszewska.** Roboty ręczne: **M. Geszwindowa**

Z drukarni Zakładu narodowego imienia Ossolińskich pod zarządem A. Wierzbickiego


S. Kacprowski